MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 31. WARSZAWA, 28 LIPCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

BRODZIŃSKI O ŻYDACH

(PRZYPOMNIENIE W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI PISARZA)

MAMY przed sobą nieznany list Kazimierza Brodzińskiego. Ściślej byłoby powiedzieć: prawie nieznany. Wiadomość bowiem o nim dotarła już do bibljografa: Korbut go rejestruje obok innych. Mianowicie przed laty jeszcze ogłosił był fragment tego listu Kl. Kantecki w artykule „Z autografów Bibljoteki Poturyckiej" („Przew. Nauk. i Liter.", 1878, s. 123). Ale że podany tam fragment był drobny, zresztą, że o nim wnet zapomniano (nie wspomina o nim, choć się należało, Gubrynowicz w „Pamiętniku Literackim", 1904, s. 468), a całość nigdy nie była ogłoszona, a dalej ponieważ cały list rzuca ciekawe światło na umysłowość autora, — wydało się rzeczą wskazaną podać go tutaj w całości, choćby gwoli przypomnienia czytelnikom Brodzińskiego w setną rocznicę jego śmierci.

Autograf listu, jak był w r. 1878, tak i dzisiaj znajduje się w zbiorach Bibljoteki Dzieduszyckich (Poturyckiej) we Lwowie. List jest bez adresata, ale ustalić go nietrudno, wnosząc już to ze wzmianek tekstu, już też z konkordancyj z innemi listami, ogłoszonemi wcześniej. Pisał go Brodziński do jenerała Józefa Mrozińskiego, uczonego gramatyka, znakomicie zapisanego w dziejach studjów naukowych nad językiem polskim. Już Kantecki domyślił się tu adresata zupełnie trafnie[1]). List jest również bez daty, ale i tę da się ustalić co do dnia, wnosząc ze wspomnianych tam okoliczności, o których niżej wypadnie powiedzieć jeszcze słowo.

Najpierw atoli podamy tekst pełny listu w brzmieniu autografu:

[1]) Inne listy Brodzińskiego do Mrozińskiego, i to nawet współczesne poniższemu, zob. we wspomnianym „Pamiętniku Literackim", 1904 r.

[DO JÓZEFA MROZIŃSKIEGO]

[Warszawa, 10 maja 1830]

Przez pomyłkę zabłąkało się imię Szweykowskiego przy mojem r o z. Biedny on, gotuje się na jutro do operacji, nie tak bolesnej, jak trochę niebezpiecznej.

Cenzura chciała się pomścić na Niemcewiczu za skargi po wszystkich kątach, iż mu w dawniejszem zagajeniu wykreśliła przycinki przeciw Tarnowskiemu (Feliksowi) i dozwoliła już artykułu teologicznego, ale namowy i jakiś nadzwykły duch szlachetności sprawiły, że to jest cofnięte. Ks. Szweykowski niełatwo to zniesie.

W tydzień później czytuję „Gazetę Polską", bo też i ona we wszystkiem teraz późna, jak była dawniej niewczesna. Nie znam artykułu o żydach. Szczerze Pana żałuję, jeżeli często myślisz (a myślisz zapewne w całej mocy tego wyrazu) o żydach. Jest to wyraźnie truć sobie zdrowie i widzieć czarną, żałobną przyszłość naszą, tak jak ich suknie i brody. Jest to — być pewnym konsumpcji i myśleć o brzydkich, grobowych robakach. Ja sądzę, że tu już tylko w cudach i nadzwyczajnych wypadkach nadzieję mieć można. Nie śmiem i myśleć o środach gwałtownych...

Daj Boże, abym się mylił w domyśle, że żydzi... zalawszy już chłopków, a nawet niższą klasę przemysłową trunkami, zalawszy wszystkie władze administracyjne, sądowe, instytuta, i zepsu-

ciem i wpływem przemożnym, zaczną już teraz drukiem swoje opinje rozszerzać. „Gazeta Polska", a może i „Korespondent" zdają się już być ich pode-lwiem. Już tam odzywają się zdania podejrzane i usiłujące wyżej podejrzenia obudzać. Młodzi, albo niebaczni, nasi redaktorowie będą to wszystko przyjmować, a może z czasem zupełnie ustąpią, i szynk opinji będzie zupełnie w tych samych rękach, co szynk piwa i wódki.

Kopernikowi słońce nie zdaje się sprzyjać, a może gniewa się na Towarzystwo. Wszak to my wszyscy członkowie ani na tę uroczystość nie zaproszeni, ani na ów osławiony obiad. Wiemy o tem tylko z „Kurjera", ale nie wiemy, gdzie ten obiad, a nuż może i goście nie wiedzą.

Dziś mamy także drugą uroczystość w uniwersytecie: ogłoszenie tytułu Aleksandrowskiego. Jest to rzecz mała napozór, ale ważna, że nas ocalić może od zagrożonego rozbioru i rozrzucenia po prowincjach. Czy Pan byś pisał: Aleksandrowski czy Aleksandryjski? To nie własność Aleksandra, bo po jego śmierci tak nazwano.

Najprawdziwsze poważanie

Brodziński

List wprowadza nas w atmosferę 1830 r., w bieg wypadków z maja t. r.

Świeżo właśnie podówczas wyszła była z druku książka „Rozprawy i wnioski o ortografji polskiej przez Deputacyę od Król. Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk wyznaczoną" (Warszawa, 1830), gdzie pomieściły się wywody i głosy polemiczne w sprawie proponowanych przez Deputację zmian pisowni (nasze dzisiejsze zmartwienia mają, jak widać, dobrą i długą historję). W szczególności Brodziński pomieścił był tam rozprawę „O łagodzeniu języka", w niej zaś cały rozdziałek o pisaniu roz- czy ros- (rozciągać, czy rosciągać); opowiedziawszy się za pisownią roz-, wspomniał tam, że zgadza się w tem ze zdaniem ks. Szweykowskiego, co nie było ścisłe, bo ks. Rektor w tejże książce opowiedział się był za pisownią roz- i ros- „podług następstwa spółgłosek mocnych". Generał słusznie więc wytknął autorowi tę nieścisłość, do której się Brodziński w pierwszem zaraz zdaniu przyznaje.

Niedawno też (dn. 30 kwietnia) odbyło się doroczne uroczyste posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, otworzone przemową prezesa Niemcewicza. W przemowie tej (zob. „Gazeta Polska", nr. 117 i n.) użył prezes niefortunnie cytatu ze ś. Łukasza[1]), co się niektórym niepodobało. Z podniety ks. Szweykowskiego czy ks. Skórkowskiego miał się w tej sprawie ukazać artykuł polemiczny w „Dzienniku Powszechnym", ale cenzura stłumiła spór w zarodku, niedopuszczając artykułu.

Uroczystość przemianowania uniwersytetu warszawskiego na Aleksandrowski odbyła się w maju 1830 r. O tę łaskę prosił uniwersytet jeszcze w r. 1829, podczas uroczystości koronacyjnych cara Mikołaja. Spodziewał się z tego kroku dużych korzyści w uposażeniu. Car na przemianowanie się zgodził, ale spodziewanych korzyści nie ziścił, wykręcając się sianem — obietnicy. Uniwersytet conajwyżej uniknął niebezpieczeństwa, o którem wspomina Brodziński.

Słońce Kopernikowi miało „sprzyjać" podczas odsłonięcia pomnika, wznoszonego właśnie podówczas przez Towarzystwo Przyj. Nauk przy Nowym Świecie. Komunikat zapowiadający uroczystość wspominał, że z tej okazji odbędzie się „obiad składkowy członków Towarzystwa", nie podając istotnie bliższych szczegółów („w miejscu wybranem"). Odsłonięcie i obiad (w Hotelu Wileńskim) odbyły się dn. 11 maja. List nasz jest zatem z przed tego dnia.

Pisany był mianowicie w jego wigilję. Wynika to wyraźnie z następnej wzmianki, ostatniej, która wymaga objaśnienia. Mroziński najwidoczniej zapytał Brodzińskiego w liście o zdanie jego w sprawie artykułu o żydach, ogłoszonego właśnie w „Gazecie Polskiej". Artykuł ten („O żydach polskich"), anonimowy, mieści się tam w nr. 123 z dn. 9 maja. Brodziński odpisał po wyjściu artykułu a przed odsłonięciem pomnika Kopernika, t. zn. właśnie dn. 10 maja.

Artykułu o żydach Brodziński jeszcze nie czytał, ale musiał coś o nim się dowiedzieć od Mrozińskiego, musiał poznać zgrubsza jego treść, skoro w liście swym pośpieszył tak stanowczo się jej... przeciwstawić. Anonim z „Gazety Polskiej" przeprowadzał mianowicie tezę, że żydzi dlatego tak są dla Polski nieprzychylni, iż grzęzną w „ślepej ciemnocie" i nie mają praw politycznych. „W czasie wojny" — pisał — „kiedy się miłość ojczyzny najbardziej okazuje, żyd jest zupełnie obojętnym spektatorem. Nieprzyjaciel niszczy pola — nie jego; legło tyle tysięcy rodaków — ani jego syn, ani brat tam się nie znajdował... Mieliby żydzi podobny sposób myślenia, gdyby posiadali grunta i służyli w wojsku? Zapewne nie". Autor ponadto zgromadził w dalszym ciągu sporo rekryminacyj pod adresem ustawodawców dawnej Polski, że strojem, sadownictwem i t. p. wyłączyli żydów ze społeczeństwa polskiego i poddali ich pod wyłączną moc rabinów. Mówi zato o czasach Kazimierza Wielkiego jako o okresie zupełnej harmonji między obiema społecznościami.

Brodziński, jak wynika jasno z powyższego listu, poglądów tych i inspiracyj anonima bynajmniej nie podzielał. Co więcej, „Gazetę Polską" (red. K. Bronikowski) i „Gazetę Korespondenta Warszawskiego"[2]) miał najwyraźniej za coś nakształt owego „lwa srogiego" i „ogromnego smoka", o których przyszłem ujarzmieniu mówił „narodowi wybranemu" Psalmista. O ekspansji żywiołu żydowskiego miał Brodziński sąd zupełnie trzeźwy. Stąd jego tak rozpaczliwie ponure horoskopy dla przyszłości prasy polskiej. Kto świadom dziejów tej prasy porówna stan rzeczy z przed stulecia z dzisiejszym, kto rozejrzy się wśród naszych luksusowych wyszynków opinji i zliczy szynkarzy, nie odmówi daru jasnowidztwa autorowi „Mowy o narodowości". Ale też nie bez goryczy myśleć będzie o jego z tej strony równie wyraźnym defetyzmie.

J. Z.

---

[1]) Zamiast: „Biada wam, biegłym w zakonie, iżeście wzięli klucz wyrozumienia..." powiedział: „Biada wam, duchowni, boście wzięli klucze umiejętności..." Cytat uzyskał w ten sposób odcień aktualnej przymówki. O tym incydencie pisał Brodziński już uprzednio do Mrozińskiego; zob. „Pam. Liter.", 1904, s. 470.

[2]) W „Gazecie Koresp. Warszaw." ukazał się niewiele co przedtem artykuł „Szczątki Izraelitów". Wogóle sprawa żydowska była podówczas wcale żywo dyskutowana w prasie warszawskiej.

ROZŁAM W KOMUNIZMIE i JEGO KONSEKWENCJE DLA ŻYDOSTWA

JAK LICZNE są nici, łączące komunizm z żydostwem, niema potrzeby dowodzić. Teorja Karola Marksa, potomka rodu rabinów, wywodzącego się z Polski, realizowana była niemal wyłącznie przez żydów.

Krwawa kąpiel, przeżyta przez Rosję, Węgry, Hiszpanję i inne kraje, była tego zewnętrznym objawem. Dziś można już stwierdzić, iż okres marksizmu w Europie powojennej zbliża się do swego naturalnego końca. Powodem tego są dwa fakty: reakcja społeczeństw, objawiająca się w potężnych ruchach narodowych oraz stwierdzenie przez znaczny odłam żydostwa faktu, iż na drodze rewolucji rozwiązać się kwestji żydowskiej nie uda.

Dr. J. Schechteman w broszurce „Prawda o Rosji Sowieckiej" (Warszawa. 1933, wyd. „Nowe Życie") na str. 22 — 23 pisze:

„Wysuwa się stary nasz problem, czy da się życie żydowskie zmienić przez rewolucje i ewolucje. Nie wdajemy się, jak dalece udały się eksperymenty bolszewickie. Nas obchodzi jedynie, czy udał się eksperyment żydowski[1]) w Rosji Sowieckiej, t. zn., czy sytuacja żydów stała się normalną. Dotychczasowe dowody i dane statystyczne mówią jasnym językiem. Odpowiedź na to pytanie jest niestety ujemna. Co położenie czyni rozpaczliwem i beznadziejnem, to fakt, że rządy znajdują się w rękach ludzi dalekich od antysemityzmu. Wbrew woli władz i ich politycznych i ekonomicznych instytucyj, idzie rozwój wypadków w Rosji Sowieckiej niemiłosiernie przez żywe ciało narodu żydowskiego, tratując i niszcząc byt żydostwa. Jest u rządzących najlepsza intencja subjektywna, ale cóż z tego, kiedy objektywne warunki działają przeciw żydom... Kolonizacja prowadzona przy poparciu władz sowieckich i pomocy bogatych żydów z zagranicy zawiodło na całej linji".

Czy położenie polityczne żydów stało się lepsze, wyjaśnia nam żyd, p. Berson (Otmar), korespondent „Gazety Polskiej" w Moskwie, w swej książce „Nowa Rosja", Warszawa, 1933, str. 131 i 132:

„Kwestja żydowska w Sowietach nietylko istnieje, ale grozi ponadto niejednem powikłaniem... Nie bacząc na bardzo surowe represje (przeciętnie rozstrzeliwuje się kilku rosjan za jednego poturbowanego żyda) antysemityzm rośnie z każdym dniem w najszerszych masach, i niechby tylko władza popuściła cugli, zbledną obrazy wszystkich dotychczasowych pogromów".

Wobec takich dla żydostwa wyników krwawej rewolucji rosyjskiej, żydostwo środkowej i wschodniej Europy postanowiło eksperymentu nie rozszerzać, a raczej go likwidować, porzucając myśl rewolucji światowej.

Żydzi Zachodu, widząc w rewolucji światowej jedyne narzędzie do zniszczenia fali nacjonalizmu i antysemityzmu, parli nadal do jej realizacji. Doprowadziło to do rozbicia żydostwa światowego na dwa zwalczające się obozy i w dalszej konsekwencji do rozłamu w komunizmie.

Już opuszczenie Rosji przez wodza rewolucji światowej, Bronsztejna-Trockiego dawało dużo do myślenia.

[1]) Podkreślenie w oryginale.

Jednak to, co dziś się dzieje w Rosji i na Zachodzie — zaczyna przemawiać językiem zupełnie wyraźnym.

Pod naciskiem życia, stającego wpoprzek doktrynie komunistycznej, Stalin, oparty o żydów wschodnich, którzy uznali, że eksperymenty rewolucyjne zwracają się w swym wyniku przeciw żydom, rozpoczął nowy kurs polityczny w życiu Sowietów, który nazwać można okresem częściowej likwidacji bolszewizmu. Z jednej strony widzimy zahamowanie kolektywizacji wsi i, co ważniejsze, rozszerzenie ram gospodarki indywidualnej w kolektywach już istniejących, wprowadzenie tajnych wyborów do Sowietów, zwrócenie się „frontem do człowieka", którego wczoraj jeszcze niemiłosiernie się wyzyskiwało, wreszcie wyciągnięcie ręki do bezpartyjnych i stwierdzenie, że nie są oni gorsi od partyjnych komunistów.

Z drugiej zaś strony objawy likwidowania wpływu tych żywiołów, które rewolucję rosyjską wywołały, przeprowadziły i dążyły do jej rozszerzenia. Po wydaleniu Trockiego przyszło obecnie rozwiązanie „Związku Starych Bolszewików", grupującego gwardję komunizmu, czyszczenie partji komunistycznej i komsomołu z elementów lewicowych, likwidacja rewolucyjnej grupy Jenukidze. Jakże ciekawa, choć krótka, jest depesza, podana przez P. A. T.'a w dn. 15.VI b. r. z Moskwy; czytamy tam m. i.:

„Centralny Komitet Partji Komunistycznej nakazuje kontynuowanie pracy propagandowej bez wakacyj letnich, podkreślając konieczność zaostrzenia walki z teorjami mienszewickiemi, eserowskiemi i lewicowo-komunistycznemi".

Partja komunistyczna, zwalczająca komunizm— to daje dużo do myślenia. Jest to niewątpliwie wynik rozdwojenia w światowej partji komunistycznej, widoczny dziś wszędzie, i u nas w Polsce, gdzie jesteśmy świadkami starć i bójek między „trockistami" i „stalinowcami".

Kierunek Stalina, wyrzekając się światowej rewolucji, likwiduje powoli „rewolucyjną" przeszłość sowiecką, unika zatargów wojennych i opierając się na parciu mas rosyjskich w kierunku specyficznego nacjonalizmu sowieckiego — zdąża do wytworzenia z Rosji Sowieckiej normalnego państwa, nie różniącego się zbytnio od innych członków rodziny narodów.

To stanowisko Stalina popiera zdecydowanie żydostwo wschodnie, obawiające się wszelkich wstrząsów i awantur politycznych i wyrzekające się całkowicie rewolucji światowej. Typowym przedstawicielem tych żydów jest sowiecki min. spr. zagr. Litwinow.

Równocześnie komunistyczna partja w Sowietach odbyła ewolucję i pod względem swego składu personalnego. Część żydów („trockiści"), jak np. Bucharin, Zinowjew i Kamieniew, musiała ustąpić.

Już nie można dziś jej nazwać żydowską, lecz rosyjsko-żydowską.

Kierunek Trockiego, nawskroś żydowski, dążący ze wszystkich sił do wywołania rewolucji światowej, popadł przeto w ostry konflikt ze Stalinem, broniącym twardo swej nowej linji politycznej.

O zaciekłości walki świadczy fakt aresztowania w Rosji syna Trockiego. Żydowski „Nowy Dziennik" w nr. 167 z dn. 19.VI.35 r. pisze:

„Mszcząc się na Trockim, aresztował jego syna. Sergej Trockij nigdy nie interesował się polityką i nie był nawet członkiem komsomołu... Jako inżynier otrzymał katedrę na politechnice moskiewskiej... Gdy wydalono Trockiego... syn w listach nigdy nie poruszał spraw politycznych... Wie o tem dobrze Stalin, bo syn Stalina był przyjacielem syna Trockiego... Po zamordowaniu Kirowa i procesie przeciwko Zinowjewowi i Kamieniewowi... — „Serioża" został aresztowany... Żona Trockiego domaga się dopuszczenia do Rosji międzynarodowej komisji socjalistycznej, którаby zbadała prześladowania Trockistów i anarchistów... Stalin jest mściwy i nie pozwoli sobie wydrzeć ofiary"...

Aresztowanie Sergeja Trockiego było represją za wywołanie przez Trockiego zamachu stanu, gdzie ofiarą padł Kirow.

Gdy, popierane przez Trockiego, dwie rewolucje hiszpańskie i rewolta austrjacka zawiodły i doprowadziły do konsolidacji żywiołów narodowych w tych krajach, Trocki postanowił przez zamach stanu opanować władzę w Rosji, co pozwoliłoby znów zrobić z niej pochodnię rewolucji światowej.

Skończyło się to jednak krwawym porachunkiem z „trockistami".

Po czyjej stronie są sympatje żydów polskich, świadczy następująca cytata:

„Mimo wszelkich komunikatów rządowych, zarzucających tym starym bolszewikom w mniejszym czy większym stopniu zdradę stanu lub knowania kontrrewolucyjne, odnosi się wrażenie, że padają oni tylko ofiarą cichej, lecz coraz bardziej zażartej walki, toczącej się między rządem Z. S. S. R., a najistotniejszemi a bodaj czy i nie najbardziej wartościowemi elementami partji komunistycznej"[1]).

Ciekawe, że pisze to lwowska „Chwila" w numerze 241 z dn. 13.VI.35 r. — organ nacjonalistycznej prawicy żydowskiej.

„Czysty" komunizm żydowski Trockiego znalazł się w trudnej sytuacji... Wprawdzie przeprowadzono połączenie II Międzynarodówki z odłamem Trockiego — gdzie na to sytuacja pozwoliła, lecz nie dało to dotychczas pozytywnych wyników.

W tym czasie Stalin zadał Trockiemu straszny cios — była nim moskiewska wizyta Laval'a. Byłaona silnym reflektorem, który oświetlił mroki zatargu. Laval, dążąc do odnowienia dawnego sojuszu francusko-rosyjskiego, uzyskał u Stalina oficjalne wyrzeczenie się metod rewolucyjnych i przyrzeczenie cofnięcia swego poparcia marksistom francuskim.

A wszak na terenie Francji idzie dziś do decydującej, bodajże ostatniej rozgrywki między nacjonalizmem a marksizmem...

W tej ciężkiej chwili Stalin pozostawił Francuski Zjednoczony Front z pod znaku Bluma i Trockiego ich własnemu losowi.

Na powyższy temat umieszcza żydowska „Opinja" dn. 9.VI b. r. ciekawy artykuł, w którym czytamy:

„Cała prasa światowa znajduje słowa ironji dla niemiłej sytuacji, w jakiej znalazł się „Jednolity front" robotniczy lewicy we Francji z powodu manifestacyjnej aprobaty przez samego Stalina francuskich wysiłków na polu obrony narodowej.

Generalny Sekretarz Rosyjskiej Partji Komunistycznej jest szefem III Międzynarodówki! I on, najwyższy zwierzchnik zwolenników III Międzynarodówki w świecie, aprobuje plan francuskiej obrony narodowej, zwalczany we Francji przez lewicowych pacyfistów z pod znaku „jednolitego frontu".

Przykre to uderzenie sztyletem w plecy! Dziwne atoli, że komunistyczna *„Humanité"* mniej się z tego powodu smuci, niż sroży się Blum, „sojusznik" w jednolitym froncie, reprezentujący w nim II Międzynarodówkę. Dziwne? A może zgoła naturalne..."

Sytuacja rysuje się wyraźnie. Komuniści, Francuzi czy Rosjanie, rezygnują z rewolucji światowej i poprzestają na obronie „ojczyzny sowieckiej" przeciw interwencji i nie „orjentują się na rewolucję światową".

Komu ona jest potrzebna, zdradza żyd-socjalista Blum, żydowski szofer maszyny rewolucyjnej, którego zostawiono samego w krytycznej chwili prób realizacji przewrotu. Odpowiedź Stalina Trockiemu brzmi: „Jak chcesz robić rewolucję, to ją rób, ale własnemi rękami".

I dlatego „zjednoczony front" we Francji prze do rozgrywki. Oparcie o Sowiety stracone. Dziś albo nigdy. Siły frontu topnieją, „Krzyż Ognisty" potężnieje. Za pół roku rozgrywka już będzie niemożliwa. I dlatego sroży się Blum, zdradzając, że pomimo swego socjalistycznego stanowiska, realizuje pocichu maksymalny program komunistyczny.

Jednak ostatnia ucieczka Trockiego z Francji do Norwegji mówi, że szanse jednolitego frontu są małe, że czas pakować manatki. Wrócić wszak można w każdej chwili!...

Dziś zasadnicza rozgrywka, która zaciąży na losach Europy, odbywa się na terenie Francji.

ZBIGNIEW ZAWADZKI

[1]) Podkreślenie jak w oryginale.

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

DĄŻENIA MORSKIE W DOBIE ROZBIORÓW

PRÓBY reform politycznych, jakie przedsięwziął Jan III, a które polegały na wzmocnieniu władzy królewskiej przez ugruntowanie na tronie polskim dynastji Sobieskich, spełzły na niczem. W reformach tych podstawę główną stanowiło przyłączenie, zwolnionych po wojnach krwawego „potopu" od lenna, Prus Książęcych (dzisiejszych Prus Wschodnich) do Rzeczypospolitej. Stąd też największy sprzeciw wywoływały wspomniane reformy ze strony zagrożonego bezpośrednio w swych posiadłościach pruskich elektora brandenburskiego, za którym stał tradycyjnie jego zwierzchnik w Rzeszy, cesarz niemiecki. Cesarza popychały na stronę elektorską trzy czynniki, jakiemi były: chęć zjednania sobie jednego z najpotężniejszych książąt Rzeszy, niedo-

puszczenia do odrodzenia się na swych północnych granicach potęgi polskiej w tym stopniu, w jakim była w wieku XVI i pierwszej połowie XVII, i dążenie do trwałego uwikłania Rzeczypospolitej w zatargi zbrojne z napierającą na cesarstwo Turcją. Dynastja Sobieskich, opierająca się na odzyskanych Prusach Książęcych i ciążąca automatycznie w stronę głównego wroga cesarstwa niemieckiego, Francji, była w najwyższym stopniu niepożądana, zarówno w Berlinie, jak i w Wiedniu i dlatego też oba dwory niemieckie powitały chętnie, po zgonie Jana III, obiór elektora saskiego Augusta Mocnego, który usunął zarówno Sobieskich, jak i właściwego kandydata francuskiego, księcia Franciszka Conti'ego.

August Mocny zapoczątkował w Polsce okres saski (1697 — 1763 r), okres, w którym Polska staczała się szybko z pozycji niezależnego, choć już od krwawego „potopu" drugorzędnego, państwa europejskiego do poziomu niepodzielonego jeszcze chwilowo obszaru, znajdującego się między cesarstwem niemieckiem, właściwie dziedzicznemi posiadłościami Habsburgów, ziemiami elektora brandenburskiego, który w 1700 r. przyjął tyłuł króla Prus, i przekształcającem się w oczach na europejskie cesarstwo rosyjskie carstwem moskiewskiem. Każdy z tych trzech sąsiadów: Habsburg niemiecki, Hohenzollern pruski i Romanow rosyjski mieli swoje widoki na Polskę, przyczem Habsburg i Romanow, jako silniejsi, myśleli o opanowaniu pośrednio całej Rzeczypospolitej, a Hohenzollern, jako słabszy, dążył do bezpośredniego oderwania od niej ziem zachodnich, przedewszystkiem Prus Królewskich (dzisiejszego Pomorza), oddzielających jego posiadłości brandenburskie od Prus Książęcych, a następnie Wielkopolski, będącej zapleczem dla wybrzeża bałtyckiego między Odrą a Wisłą.

Rozbiór Polski, przy którym elektor brandenburski zyskiwałby Prusy Królewskie i Wielkopolskę, stanowił treść wszystkich memorjałów, jakie składał dążącemu do wykrajania sobie z ciała Rzepospolitej odpowiedniego terytorjum (złączonego nazawsze z Saksonją w formie dziedzicznej, absolutnej monarchji Wettin'ów), Augustowi Mocnemu pierwszy koronowany król pruski Fryderyk I (1688 — 1713 r.). Rozbiór Polski, dający te same ziemie Prus Królewskich i Wielkopolski Hohenzollernom, był młodzieńczem marzeniem trzeciego z kolei monarchy pruskiego, Fryderyka Wielkiego (1740 — 1788 r.) i kwintesencją jego projektów, mających na celu zakończyć Wojnę Siedmioletnią, a wreszcie realną propozycją, złożoną Marji Teresie i Katarzynie II w dobie konania konfederacji Barskiej i urzeczywistnioną w postaci podziału kresów Rzeczypospolitej w 1773 r. między cesarstwo, Prusy i Rosję.

Jednakże naród polski, choć niedomagający od czasów krwawego „potopu", choć ciężko chory w okresie saskim, miał w sobie znaczne siły żywotne, które leczyły go z długotrwałej, bo przeszło stuletniej, niemocy. W największym odmęcie za Sasów nie przestawały się rozlegać, z początku bardzo nieliczne, a potem coraz częstsze, głosy o potrzebie naprawy ustroju państwowego i społecznego. Współzawodnik obu Sasów, król Stanisław I Leszczyński (1704 — 1709 r.) ogłosił drukiem swój „Głos wolny, wolność ubezpieczający". Jeden z najlepszych żołnierzy ówczesnych, towarzysz broni szwedzkiego Karola XII, wojewoda mazowiecki i generał Stanisław Poniatowski napisał „List ziemianina do pewnego przyjaciela z innego województwa". Podkomorzy poznański Franciszek Radzewski wydał pod pseudonimem Poklateckiego „Kwestje polityczne obojętne". Zasłużony reformator szkolnictwa ksiądz Stanisław Konarski zyskał wielką poczytność swą pracą „O skutecznym rad sposobie". Podkomorzy parnawski i generał Jan Kampenhauzen poddał rzeczowej krytyce organizację i wyćwiczenie ówczesnej armji polskiej i wskazał na odpowiednie środki poprawy w „Obserwacjach do wojennych operacyj i akcyj". Głosy te rozlegały się coraz silniej i wzbudzały w szerokim ogóle zainteresowanie sprawami publicznemi, krzewiąc myśl niezbędnych reform, polegających na utworzeniu silnego i trwałego, lecz jednocześnie odpowiedzialnego rządu, podniesieniu oświaty, wzmożeniu dobrobytu powszechnego przez poprawienie stanu miast i handlu oraz przez zrewidowanie stosunków między właścicielem ziemskim, szlachcicem, a pracownikiem na jego łanach, chłopem, i ulepszenie przez to rolnictwa.

Z pośród tych autorów wojewoda Poniatowski pierwszy wskazywał niebezpieczeństwo, grożące Polsce od strony Prus, dążących systematycznie i powoli do zagarnięcia ziem pomorskich.

Pod hasłem koniecznych reform odbyła się elekcja po śmierci ostatniego Sasa, Augusta III: został wybrany członek rodziny książąt Czartoryskich, znanych jako gorących zwolenników przebudowy ustroju Rzeczypospolitej, stolnik litewski Stanisław August Poniatowski (1764 — 1795). Czartoryscy, zaraz po elekcji, przystąpili energicznie do przeprowadzenia reform w dziedzinie ustawodawczej, wojskowej i skarbowej, lecz napotkali oczywiście na sprzeciw ze strony cesarstwa, Prus i Rosji, przyczem najbardziej przewidująco działali Prusacy, a najenergiczniej Rosjanie. Przeciwko interwencji rosyjskiej powstała konfederacja Barska i, w rezultacie, zgodnie z propozycją Fryderyka Wielkiego, nastąpił w 1773 r. pierwszy rozbiór Polski.

Rzeczpospolita straciła przy tym rozbiorze najwięcej na rzecz Rosji, bo swe kresy północnowschodnie o obszarze 93.200 klm. kw. z 1.200.000 ludności, mniej oddała cesarzowi niemieckiemu, bo kresy południowo-wschodnie, mające 83.000 klm. kw. z 2.100.000 mieszkańców, a najmniej otrzymali Prusacy, bo kresy północno-zachodnie, zajmujące obszar 36.300 klm. kw. z 600.000 zaludnienia. Ten najmniejszy właśnie zabór pruski obejmował Warmję, całe Prusy Królewskie (województwa chełmińskie, malborskie i pomorskie) oraz północne, nadnoteckie ziemie właściwej Wielkopolski. Była to utrata dorobku Kazimierza IV Jagiellończyka po Wojnie Trzynastoletniej, tej wojnie, która zrealizowała stare dążenia Piastowskie do Bałtyku i która założyła podwaliny mocarstwowego stanowiska Polski w Europie.

Pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej był pierwszem ostrzegawczem uderzeniem ze strony trzech państw, które go przeprowadziły i które dawały znać w ten sposób, że nie pozwolą na żadne reformy, mogące wzmocnić wyczerpaną przeszło stuletnią chorobą Rzeczpospolitą. Stało się jednak inaczej: po pierwszem ogłuszeniu, jakie sprawił rozbiór, zabrano się znów do pracy. Soki żywotne narodu okazały się silniejsze od zepsutej ma-

terji, cieknącej za Sasów. Powołana do życia w roku pierwszego rozbioru Rada Nieustająca, będąca stałym rządem między kadencjami parlamentarnemi, uzupełniała się coraz więcej zwolennikami naprawy Rzeczypospolitej w myśl wskazówek reformatorów. Główna uwaga zwrócona została na uporządkowanie administracji wewnętrznej i sprawy gospodarcze. Przedewszystkiem wzięto się do bilansu handlowego. Ogłoszone po pierwszym rozbiorze zestawienie urzędowe z 1776 r. wykazało wartość wywozu polskiego w tym roku w kwocie 22.100.000 zł., a przywozu — w wysokości 48.600.000 złotych. Bilans zatem handlowy był wybitnie bierny i miał 26.500.000 zł. salda ujemnego. Ogłoszenie tego bilansu wstrząsnęło zarówno rządem, jak społeczeństwem. Wzięto się energicznie do uruchomiania własnego przemysłu, poprawiania warunków handlowych, ulepszania dróg i, przedewszystkiem, zwiększenia wydajności rolnictwa, które od czasów Jagiellonów zamieniło Polskę w śpichlerz Europy.

Rzeczpospolita po pierwszym rozbiorze zajmowała obszar 520.000 klm. kw. i miała 7.400.000 ludności[1]), w tem około 6.000.000 chłopów, siedzących na roli, należącej do 600.000 szlachty i duchowieństwa, na resztę zaś składali się mieszczanie i pasorzytujący żywioł żydowski. Polska była więc krajem wybitnie rolniczym, na grunta orne szło 15.700.000 hektarów, co stanowiło 30% ogólnego obszaru i z tych gruntów ornych zbierało się rocznie 98.000.000 hektolitrów zboża i wszelkiego rodzaju warzyw. Przyjąwszy, że wartość 1 hektolitra zboża lub warzyw w Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta dochodziła przeciętnie do 6,5 złotego ówczesnego[2]), otrzymuje się ogólną wartość całej produkcji rolniczej w wysokości 636.000.000 zł. Z tych ogólnych zbiorów rolniczych wysyłano zagranicę drogą na Bałtyk, t. j. przez Gdańsk, Elbląg, Królewiec i Rygę, około 2.300.000 hektolitrów, które szły dalej morzem do portów Europy Zachodniej i morza Śródziemnego, i które stanowiły wyłączny prawie przedmiot wywozu polskiego w XVIII wieku.

Czynniki rządowe, dążąc do zwiększenia wywozu, na co składał się przedewszystkiem eksport rolniczy, zajęły się, po pierwsze, najkorzystniejszem dla Polski wyzyskaniem narzuconych jej przez cesarstwo, Prusy i Rosję traktatów handlowych, danych w formie pewnej kompensaty po 1-szym rozbiorze, po drugie, ulepszeniem arteryj komunikacyjnych dla tego wywozu, zwracając główną uwagę na drogi wodne, wreszcie, po trzecie, popieraniem racjonalnej wytwórczości rolniczej, zarówno w majątkach państwowych, jak prywatnych.

Traktat handlowy z cesarstwem, złożony przez posła cesarskiego barona Rewitzky'ego w 1775 r., nakładał 4% cła przywozowe i 1% tranzytowe. Ustawa celna Józefa II-go z 1784 i 1788 r. zabroniła wszelkiego dowozu do dziedzicznych krajów habsburskich takich przedmiotów, jakie były w tych krajach wyrabiane. Ustawa Józefińska podcięła odrazu wszelki obrót handlowy między Rzecząpospolitą a krajami dziedzicznemi, w szczególności ziemi polskiemi, zagarniętemi przez 1-szy rozbiór, t. zw. Galicją. Polska mogła dostarczać tylko artykułów żywnościowych, w jakie obfitowały utracone na rzecz Wiednia ziemie polskie. Ruch zatem handlowy od strony południowej był zawsze słaby, a po wprowadzeniu wspomnianej ustawy ustał zupełnie.

Traktat handlowy z Prusami, przedstawiony przez posła Fryderyka Wielkiego, Benoît'a w 1775 r., przewidywał 2% cło za towary pruskie, przywożone do Polski, i taką samą opłatę za towary polskie, przewożone do Prus, 4% za towary zagraniczne, nabywane przez Polskę w Prusach, i 12% za towary, idące do Polski lub z niej wychodzące tranzytem przez terytorjum pruskie. Takie zróżniczkowanie opłat celnych oddało w ręce Hohenzollernów cały prawie przywóz i wywóz polski, idący starym szlakiem wiślanym na Gdańsk. Jednocześnie nałożył rząd pruski 5% cła od towarów, spławianych Wartą i Odrą do Szczecina. Dalej przepisywał ten sam traktat monopol dostarczania cukru do Polski tylko cukrowniom pruskim, a monopol dostarczania soli tylko Pruskiej Kompanji Morskiej.

Traktat handlowy z Rosją, wniesiony w 1775 r. przez ambasadora Katarzyny II-ej, barona von Stackelberg'a, dawał Polsce swobodną żeglugę na Dźwinie, zabezpieczenie soli, sprowadzanej przez Rygę, od jakichkolwiek ceł i monopoli[1]) i wolny przewóz wszelkich towarów, idących do Polski lub z niej wychodzących, przez port ryski.

Jak widać z powyższego, najlepszy dla Polski był układ handlowy z Rosją, albowiem dopuszczał do swobodnego korzystania z Rygi, stanowiącej obecnie jedyne nieskrępowane wyjście na Bałtyk. W kierunku też Rosji zaczął się zwolna zwracać cały polski ruch handlowy. W tym samym kierunku poszły prace komunikacyjne, przedsięwzięte przez Rzeczpospolitą po 1-szym rozbiorze. Miecznik piński Mateusz Butrymowicz własnym kosztem przeprowadził dwa gościńce na kresach wschodnich, jeden od Słonimia na Łohyszyn i Koziki do Pińska, drugi z Pińska do Dubna. Hetman Michał książę Ogiński również własnym sumptem wybudował kanał wodny między Szczarą, dopływem Niemna, a Jasiołdą, dopływem Prypeci a przez to Dniepru. Kanał ten został nazwany „Ogińskiego". Ksiądz Franciszek Narwojsz, z polecenia rządu, oczyszczał Niemen. Został uporządkowany Bug. Wreszcie został kosztem państwa przeprowadzony kanał „Królewski", łączący Pinę, dopływ Prypeci, z Muchawcem, dopływem Bugu, a przez to wiążący morze Czarne z Bałtykiem. Sieć komunikacyjna na wschodzie Rzeczypospolitej rosła w oczach i dzięki niej szybko wzmagał się ruch handlowy.

W trzeciej dziedzinie, tj. w powiększeniu wydajności rolnictwa czynniki rządzące zwróciły przedewszystkiem uwagę na położenie społeczne chłopa, które naogół było dość ciężkie. Chłop ówczesny nie posiadał własnej ziemi, która należała bądź do króla, bądź do duchowieństwa, bądź do szlachty, i musiał ją uprawiać na rzecz jednego z tych trzech właścicieli. Uprawa ta nosiła nazwę „pańszczyzny" i wynosiła od trzech do sześciu dni w tygodniu. Niezależnie od uprawy roli, ciążyły nad chłopem najrozmaitsze świadczenia na rzecz

---

[1]) Terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej obecnie zajmuje 388.390 klm. kw. z liczbą ludności, wynoszącą 32.132.936 mieszkańców.

[2]) 1 zł. z epoki Stanisława Augusta odpowiada 2.80 zł. doby obecnej.

[1]) Saliny Bochni i Wieliczki, jedna z podstaw gospodarki polskiej, odeszły po 1-ym rozbiorze do Austrji.

dziedzica a więc dostarczanie owoców leśnych, grzybów, ryb itd. Pozatem właściciel majątku był absolutnym panem chłopa w dziedzinie administracyjnej i sądowej. Sytuacja chłopów w Polsce była cięższa od sytuacji włościańskiej w Europie Zachodniej, gdzie zasadniczo pozostała tylko pańszczyzna, a lżejsza od warunków, panujących w Rosji, gdzie, oprócz pańszczyzny, były jeszcze dotkliwsze świadczenia, a dziedzic pod względem administracyjnym i sądowym nie był skrępowany żadnemi przepisami. Oczywiście, praca chłopa na roli pańskiej w takich warunkach była daleko mniej wydajna i stąd rząd Stanisława Augusta zajął się przedewszystkiem złagodzeniem warunków życia chłopskiego. W 1786 r. zostało odjęte dziedzicom prawo karania chłopów śmiercią, w 1784 r. urzędy sądowe otrzymały polecenie wszczynania dochodzeń karnych w razie zabójstwa chłopa, a przedtem jeszcze wprowadzono rządowych adwokatów, którzy, pobierając pensje od skarbu, zajmowali się bezpłatnie obroną spraw chłopskich. Następnie przystąpił rząd do popierania zamiany pańszczyzny na czynsz. System czynszowy był chętnie wprowadzany przez największych obszarników, jak przez ordynata Andrzeja Zamoyskiego, księcia Stanisława Poniatowskiego, podkanclerzego Joachima Chreptowicza i wielu innych. Chłopi w majątkach królewskich i duchownych mieli się znacznie lepiej, przyczem sytuacja społeczna i ekonomiczna włościan polepszała się, idąc od kresów wschodnich (ziemie litewskie) ku zachodnim (ziemie wielkopolskie i pomorskie).

Umiejętne wyzyskanie zawartych traktatów handlowych, w szczególności rosyjskiego, ulepszanie sieci komunikacyjnej, przeważnie wodnej we wschodniej połaci Rzeczypospolitej, i wreszcie poprawa warunków egzystencji chłopskiej wzmogły znacznie wywóz rolniczy z Polski zagranicę. Szedł z tem w parze rozwój przemysłu krajowego, zapoczątkowany intensywnie przez arystokrację i szlachtę po ogłoszeniu zatrważających bilansów 1776 r. Fabryki płótna i sukna, założone w Grodnie, Brześciu n/B. i Szawlach przez podskarbiego Antoniego Tyzenhauza, w Wołczynie i Staszowie przez wojewodę księcia Augusta Czartoryskiego, w Machnówce i na Pradze przez Prota Potockiego, starostę guzowskiego szły w paragon z wyrobami zagranicznemi. Piece hutnicze Joachima Chreptowicza w Wiszniewie, kasztelana łukowskiego Jacka Jezierskiego w Miedzierzy oraz fabryka kos tego samego Jezierskiego w Sobienicach rugowały import zagraniczny. Fajans i porcelana z Korca Czartoryskich, szkło z hut księcia Stanisława Poniatowskiego w Taraszczy, skóry angielskie z Niemierowa, produkowane przez podkomorzego koronnego Wincentego Potockiego, nie ustępowały sprowadzanym dotychczas z zagranicy. Rozwijał się również pomyślnie krajowy przemysł wojenny w postaci ludwisarni warszawskiej i fabryki broni ręcznej w Kozienicach oraz kuźnic w Suchedniowie. Zagarniętą przez cesarstwo sól wielicką starano się zastępować warzelniami w Busku i Solcu. Zachęcał wreszcie szlachtę do zajmowania się sprawami przemysłowemi i handlowemi dekret sejmowy 1774 r., który kasował utratę klejnotu szlacheckiego za zajmowanie się handlem.

(Dok. nast.) WITOLD HUBERT

POECI MEDYCCY

I

CECHĄ znamienną a wspólną autorów Bibljoteki Medyckiej[1]) jest to, cobym nazwał „formizmem retrospektywnym”, co ma znaczyć: rozkoszowanie się, nietylko wspomnieniami i tradycjami, lecz i, przedewszystkiem, różnolitemi **kształtami** przeszłości, nietylko więc treściowo-uczuciowe, lecz i formalno-estetyczne. Nie jest to jednak epigonizm; bo epigonizm naśladuje dlatego, że nie umie inaczej, a tutaj naśladuje się własnowolnie, ze świadomym zamiarem. Dowodem zaś, że tak właśnie rzecz się ma, jest to, iż zależnie od ochoty i fantazji naśladuje się tu **rozmaite** style i rozmaite epoki — przez wczuwanie się, przez sympatję. Jest jakaś bardzo wytrawna rozkosz w takiem swobodnem władztwie nad stylami i czasami. W takiem porównawczem przeżywaniu elementów stylu epoki, jak język ze swojem słownictwem, zdobnictwem i rytmiką, jak obyczajowość, w każdej epoce inna, jak, inne przy każdym stylu życia, liryczne nastrojenie; nawet, niby to taka powierzchowna tylko odmienność czasów, odmienność stroju i sprzętu domowego, dać może, gdy jest przeżywana porównawczo, przyjemność estetyczną bardzo dojrzałą. Autorowie B. M. nie znają wycieczek ponętniejszych nad wycieczki w przeszłość.

Przeszłość to jest kraj, którego niema, a przynajmniej taki, w którym się nie było i nie będzie — jest więc czemś **egzotycznem**. I zamiłowanie do przeszłości może się w duszy jawić wespół z zamiłowaniem do egzotyzmu — czego jednak u naszych autorów nie stwierdzamy. Ich więc wędrówki w przeszłość muszą w motywacji swoj zawierać jakiś inny jeszcze moment. A jest nim **pietyzm** wobec **pamiątki**, serdeczny i in-

[1]) Wydawcą Bibljoteki Medyckiej jest Michał Pawlikowski, syn prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego, ekonomisty i historyka literatury, pioniera walki o ochronę przyrody — sam poeta, publicysta i edytor; współpracownikami jej członkowie rodziny wydawcy i powinowate jego, ś. p. Marja Wolska oraz p. Beata Obertyńska. Na wykwintne to (i w wyglądzie swoich „*opus*’ów”) wydawnictwo składają się dotąd: 1. „Jagnieszka, wesoła historia krakowska, opowiewiedziana y malowana przez Pseudonymów”. 2. „Gitara i tamci”. Opowieści o ludziach i rzeczach, których świadkiem była w ciągu ostatnich lat stu dwudziestu zaklęta dusza. Przez Beatę Obertyńską. 3. „Pszczoły w słoneczniku”. Poezje. Przez Beatę Obertyńską. 4. „Arthur i Wanda”. Dzieje miłości A. Grottgera i Wandy Monné. Listy, pamiętniki, nieznane dzieła. 2 tomy. Do druku podali M. Wolska i M. Pawlikowski. 5. „Bajda o Niemrawcu”. Przez J. G. H. Pawlikowskiego. Z drzeworytami W. Skoczylasa. 6. „Dzbanek malin”. Przez Marylę Wolską. 7. „Harfa Eola”. Fragmenta poetyckie. Przez M. Pawlikowskiego. 8. „O Braciach Mroźnych. Sen kalendarzowy, napisany przez B. Obertyńską, namalowany przez Lelę Pawlikowską. 9. „Głóg przydrożny”. Poezje. Przez B. Obertyńską. 10. „Klonowe motyle”. Poezje. Przez B. Obertyńską. 11. M. Pawlikowski „Okna”. 12. M. Pawlikowski „Wierzę w Jednego Boga”. Poemat. 13. „Bogurodzica”, teka graficzna L. Pawlikowskiej. Wszystkie te książki wyszły w ostatnich latach 10-ciu. Skład główny: Dom Książki Polskiej, Warszawa.

tymny stosunek do tych rzeczy, które przeszłość uciekająca pozostawiła po sobie, jak cofające się morze zostawia po sobie skamieniełiny i bursztyny. Dlaczego muzea są takimi cmentarzami? Trzeba być szczególnie nastrojonym, aby się czarowi rzeczy dawnych poddawać: trzeba mieć etyczny stosunek do przeszłości, aby mogła ona, nie chwilowo, ale trwale, działać estetycznie. W tym więc retrospektywizmie B. M. wiąże się tradycjonalizm uczuciowy z pewnym estetycznym hedonizmem, o wyraźnie formistycznem (w sensie już przyjętym) zabarwieniu.

Formizm bierze chętnie fabuły błahe, te, które nie przytłaczają duszy treścią, to jest czemś, co jest ważne uczuciowo czy intelektualnie: dzięki temu można bawić się wykonaniem. Takie formistyczne nastawienie typowe jest dla *op.* 1. „Jagnieszka, wesoła historyja krakowska, opowiedziana y malowana przez Pseudonymów” i t.d. — te śmieszne perypetje studenta krakowskiego z Jagiellońskich czasów, zakochanego w okrągłej mieszczaneczce, są dla Michała Pawlikowskiego okazją do humorystycznej wycieczki w przeszłość, a towarzyszy autorowi w tej zabawie w średniowiecze jego małżonka, Lela Pawlikowska, która w barwnych i o precyzyjnym rysunku ilustracjach, z tym samym humorem wczuwa się w rozmaitość typów średniowiecznego miasta. Taki sam, znamiennie formistyczny wyraz ma następne zaraz *op.* 2. Beaty Obertyńskiej opowieść fantastyczna p. t. „Gitara i tamci”, gdzie dzieje pewnej gitary, przechodzącej z rąk do rąk od wieku XVIII aż po nasze czasy, daje okazję i autorce i ilustratorce L. Pawlikowskiej naszkicować z wdziękiem style różnych epok: empirową białą damę w empirowym fotelu, romantyczne gwiazdy nad romantycznym *à la* Wiktor Hugo wózkiem francuskich włóczęgów komedjantów, wygodne mieszkanko mieszczańskie Biedermayerowskiej epoki, białą krynolinę w blasku księżyca i rozwichrzoną czuprynę Grottgerowskich czasów, sztuczną i przeładowaną elegancję urządzenia, ubrania, koafjury, idącego już ku swemu schyłkowi, wieku XIX... To wszystko widziane nietylko w przenikliwie dowcipnem spojrzeniu estetycznem, lecz i przez łzę sentymentu, przez pryzmat przywiązania do rzeczy, które zostały po ludziach bliskich a minionych. Kiedyindziej znów dwie siostry artystki przerzucają się swobodnie w legendę poetycką o „Braciach Mroźnych”. I znowuż, rzecz konkretna, namacalna, jakiś stary kalendarz widokiem swoich liter, zżółkłego papieru, naiwnych znaków astrologicznych, może i zapachem swojej dawności przenosi artystki w krainę jakiegoś głębokiego, jakby jeszcze staro-słowiańskiego średniowiecza. Błahostka, fakt, że święci Pankracy, Serwacy, Bonifacy są w kalendarzu tuż przy Zofji z trzema córkami, opodal zaś Jan Nepomucen i Izydor — oracz, całe zaś to święte towarzystwo jest w przedwiośniu — błahostka ta wystarczyła wyobraźni artystycznej do legendy o porwaniu trzech córek św. Zofji przez trzech „braci mroźnych” — do niepozbawionej humoru zabawy estetycznej, dzięki której uzyskaliśmy pełen prawdziwego wdzięku utwór poetycko-malarski.

Podobną wyprawą w przeszłość, tym razem w świat już zmierzchający mitu ludowego i gwary ludowej, jest Jana Gwalberta Henryka Pawlikowskiego (brat wydawcy) „Bajda o Niemrawcu” (z drzeworytami Skoczylasa); gwarę góralską J. G. H. P. zna dobrze, bo z góralami dużo przestawał, nawet w portkach chadzał i w kapeli góralskiej grywał, a w opowiadaniu swem o miłości starej góralki do uosobionego wiatru halnego wykazuje się silnem, kto wie, może nawet dosięgającem Tetmajerowego ze „Skalnego Podhala”, władztwem nad ludową gwarą, narracją i wyobraźnią.

W świat na serjo już, rzeczywistości a nie fantazji, przenosi czytelnika *op.* 4. „Arthur i Wanda”, dzieje miłości A. Grottgera i Wandy Monnè, listy, pamiętniki i nieznane dzieła; M. Pawlikowski, zamiłowany edytor, umieścił w tych dwu sporych tomach korespondencję pomiędzy przedwcześnie zmarłym artystą a jego narzeczoną, późniejszą panią Młodnicką, matką poetki Maryli Wolskiej, babką dopiero co wspomnianych sióstr artystek. Księga ta, w której maluje się serce entuzjasty i artysty, która zawiera wiele wiadomości, oddających życie Lwowa z przed lat siedemdziesięciu kilku, o której słusznie wydawca jej mówi, że jest to „najpiękniejsza historja miłości”, stanowi w B. M. jej sztandarowe *opus*; świeżo przez Czechów przetłumaczona, powinna dać im autentyczną próbkę polskiego stylu bycia, który jest stylem szlachetnego wdzięku.

Op. 10 to „Okna” M. Pawlikowskiego, których treść podaję: Zwierzenia poety, O Maryli Wolskiej, Wspominki o Kasprowiczu, Lektura Króla-Ducha, Kultura Narodowa. Prócz ostatniego studjum, z którego nie zdaję sprawy na tem miejscu, gdyż nieco szerzej pisałem o niem gdzieindziej, są to szkice biograficzne i autobiograficzne. W „Zwierzeniach poety” autor odsłania swój warsztat, warsztat pracowity i cierpliwy, gdzie się nie ufa pierwszemu natchnieniu, gdzie się wiersz długo trzyma i przerabia, zanim się go uzna za gotów. „Wspomnienie o Maryli Wolskiej“ maluje ujmującą sylwetkę poetki, kobiety cichej, niepraktycznej, wgłębionej w swoje życie wewnętrzne, ale nie obcej światu: kochała Polskę i miała „jakieś swoje ścieżki dobroczynne po Lwowie”... W „Lekturze Króla-Ducha“ zasłużony współwydawca wielkiego poematu (a przy krótkowzroczności prof. J. G. Pawlikowskiego, główny odczytywacz tych piekielnie nieczytelnych rękopisów) — prócz szeregu zajmujących uwag z dziedziny poetyki wogóle, a w szczególności o „Królu-Duchu“, wprowadza nas do bibljoteki we dworze medyckim, gdzie się wieczorami rodzina jego gromadzi na lektury, pogawędki i rozrywki, a widokiem tego wnętrza ilustruje ową nawskroś „kameralną” kulturę i atmosferę, z jakiej się poczęło to wydawnictwo.

Ostatniem *opus* B. M. jest teka graficzna Leli Pawlikowskiej „Bogurodzica”. Dobór subtelny barw, precyzja rysunku są zaletami formalnemi tego cyklu 10 linorytów, które ilustrują 10 świąt Matki Boskiej, od Siewnej do Gromnicznej. Jeśliby na upartego jakiś zarzut uczynić temu cyklowi, to chyba ten, że w ludowej jego stylizacji mieszają się dwie koncepcje: jedna obrazu na szkle, prymitywistyczno-monumentalistyczna, druga stylizowanego realizmu; ale ten pedancki raczej i szkolarski zarzut, nie chcę, by w najmniejszym stopniu osłabił zapewnienie podziwu dla szczerego i szlachetnego, prawdziwie poetycznego wdzięku tego utworu.

Resztę utworów „Bibljoteki Medyckiej“ stanowią zbiory poezyj Wolskiej, M. Pawlikowskiego, Obertyńskiej.

Rzecz niniejsza była napisana przed ukazaniem się poematu Pawlikowskiego p. t. „Wierzę w Jednego Boga"; umieszczam ją bez zmian, mimo, że poemat ten spowodował mię do korektury w obrazie religijności jego autora; ale o tym poemacie napiszę osobno.

II

Wrażeniem zasadniczem z tej poezji jest wrażenie piękna. Piękno jest jednym z gatunków estetycznych: ma w sobie wdzięk i wzniosłość; ponad wdzięk wyrasta przez tę wzniosłość, którą w sobie ma; ale jeszcze wdzięku nie wyzbywa się, na rzecz wzniosłości z samego jej rdzenia, bo tam już zaczyna się strasznie: a wdzięk jest przeciwieństwem straszności.

Więc piękno jest pełne miary, niema w sobie nic nadto, nic coby mogło urazić kogokolwiek, z jakiegokolwiek względu; piękno—to jest wdzięk i wzniosłość, zaślubione w mierze i w ładzie. Taką jest poezja tych poetów; tylko u Pawlikowskiego występuje już wzniosłość w swej czystej, już ponad-pięknej esencji, a to w ostatnim z wymienionych w notatce bibljograficznej utworów (który będę traktował osobno, gdyż ukazał się już po napisaniu niniejszych uwag, które tu zamieszczam bez korektur, po przeczytaniu utworu ostatniego).

Poeci medyccy stanowią jakby jedną rodzinną szkołę, — takie są u tych trojga, acz to osoby nie z jednej, ale dwu rodzin pochodzące, podobieństwa motywacyjne i ideowe.

Weźmyż tylko motywy: r e l i g i j n y i m i ł o ś c i p r z y r o d y; już to jest znamienne, że u wszystkich trojga oba te motywy możemy traktować pod jedną rubryką.

U poetów medyckich miłość do przyrody staje się czemś niemal religijnem: odczuwanie Bóstwa w Przyrodzie jest dla nich czemś tak znamiennem, iż, zdając sobie zresztą sprawę z pewnej przesady i nieścisłości tego wyrażenia, powiem, że najprawdziwszą, najintymniejszą ich religją jest panteizm, panteizm o zabarwieniu animistycznem, pogańskiem, które zresztą nie wyklucza i zasięgów katolickiej wyobraźni religijnej; u poetów mówię, nie u osób, bo o poetach piszę, nie o osobach.

Oto W o l s k a, prawdziwa „kapłanka starosłowiańska", jak ją Pawlikowski nazywa, swoje wyznanie wiary składa:

„W grzmocie wyznawam Ciebie i w piorunie —
wyznawam Ciebie, gdy w błyskawic tumie,
chmur gradonośnych rozrywasz łachmany
i nagle z szumem wody wzbierasz rzecznej —
ten sam, co wtedy — straszny i odwieczny..."

Czy to nie raczej Perun, niźli Dobry Bóg o twarzy Człowieka? Ale jest i Dobry Bóg o ludzkiej twarzy:

„Powietrze wonne, złote i zielone,
marszczy ruchomą jesionów oponę
i jak miód ciepły do izby się wlewa...
W słońcu, na bluszczach roje os się ważą;
widzę Cię niemal... Dobrą chłopską twarzą
śmiejesz się do mnie, Ty, prosty jak one,
Boże pszczół, kwiatu, owocu i drzewa!

I moim jesteś! Mądry, uśmiechnięty,
chwalony wonią bzów dzikich i mięty,
błogosławiący ule i mrowiska,
chwalbne siół dymy i myśli człowiecze...
Ty jeden sąd masz nademną i pieczę!..."

Piękna to i luba sercu słowiańskiemu wizja, ale wizja mitologiczna, a mitologiczna w sensie panteistyczno-pogańskim, Boga na Ziemi, w przyrodzie, nie Boga w Niebie, Wartości ponad wartościami przyrody. Ołtarz tego Boga chciałaby „garścią pszenicy obsypać z przetaka i malin dzban Mu znieść — p o d a w n e m u!"

Wolska wierzy w zaświat i wypowiada to w strofie prześlicznej:

„Wiem, że ich odzyskam oczyma,
wiem, że ich rozpoznam ustami,
że mi wyjdą naprzeciw ci sami,
że nie są mgłą, ani snami..."

Jest to niezmiernie piękne, bo oderwane ujęcie tej naiwnej a pięknej tęsknoty: żeby jeszcze raz było życie z drogimi, ale takie prawdziwe, po naszemu, po ziemsku prawdziwe... To jest arcyludzkie marzenie, ale czy specyficznie chrześcijańskie? Mistyki w tem ani trochę. Wzruszająca jest ta szczerość, z jaką poetka przyznaje się do swej ziemskości, nawet gdy o zaświecie marzy: i ona, jak Achilla w Hadesie duch, postokroć woli t u, n i ż t a m:

„Choć mi tam Pan Bóg ułaskawi duszę,
tęsknota ciężka, choć bez krwi i ciała,
zawsze jak kamień będzie wdół leciała,
póki na lasu mego dno nie spadnę,
póki nie wrócę, Bóg wie, jak z wysoka,
napić się wody z mojego potoka.—
Niech wichru smolne, surowe podmuchy,
co w serce nasion nawiewały siła,
znów mnie oblecą!..."

Kiedy zaś ku Chrystusowi myśl swą zwróci poetka „wody żywej, wody świętej", wtedy, nie bez żalu, dyskretnie Mu wyrzuca, że On nie na ziemi dziś, ale w niebie... Taki bowiem jest, jeśli się nie mylę, sens tercyn o „Trzech Królach": zdaleka przybyli, ale Dzieciątka nie znaleźli; tylko ich jakiś pastuch informuje:

„Lat dwa tysiące mija bez mała,
odkąd Go Matka na świat wydała.
Dziecko znów Bogiem jest w niebie,
kadzidło księdzu niech służy do mszy,
ja tam na złoto wasze łakomszy,
gorycz schowajcie dla siebie!"

Jest to jeden z rzadkich u Wolskiej momentów ironicznych, cierpkich. Jeśli trafnie odcyfrowuję, to tajnym Maryli Wolskiej kłopotem religijnym była kwestja: Dlaczego Boga nie można widzieć? Dlaczego przez swą niewidzialność poniżył oczy nasze, dar tak wspaniały?...

Lecz i u P a w l i k o w s k i e g o, a mianowicie w „Harfie Eola", nie znalazłem Boga Ukrzyżowanego, tylko Boga Mocy, którego się w potęgach Przyrody przeczuwa, w zwycięskim strumieniu rozlewającego się Życia. W potężnym utworze „Głos Mocy Nienazwanej" tak wieści o sobie Bóg:

„Jam jest pierwszym rozmachem moc na glob rzucona!
Jam jest życia gwiżdżący dech przez suche kości!
Jam jest słońce wyniosłej myśli Faraona!
Ze mnie mają żywota mus dąbów parości!
Ze mnie jest wszystkich komet siła rozpędzona
Ze mnie jest pierwszy życia krzyk dziki do świata
Ze mnie są ognie światów!

Ze mnie jest burza w nocy z łańcucha zerwana,
Co z gór kroczy po ciemku, mrugając w oddali
Błyskawicami sinych źrenic Lewiatana!
Niespodziana jak orkan, z den wielki ocean
Podnoszący w śmiertelnej ciszy we fal snopy,

Dreszcze serc wściekłych, myśli na karkach ukropy,
obrażonych narodów gniew, wojenny pean,
bije ze mnie w ramiona krwią i w czaszek stropy!..."

Nie jestem pewny, czy nozdrzom tego Boga nie byłby miły dym ofiar całopalnych, a zgoła i woń krwi świeżej?...

Ale nawet wtedy, gdy poeta, rachunek sumienny robiąc z sobą, uczuje, że duszy swej „dał głodować" i uwierzy, że „Tylko Bóg" (tytuł utworu) zdoła ją nasycić, bo dlań „wszelka moc otwarta", to i to nawrócenie się ku życiu wewnętrznemu, opartemu na temacie „Bóg", za swoje tło ma nie widok z górującym krzyżem, nie uroczystą głąb kościoła, lecz poprostu las wiosenny:

„I dziś gdy nową wiosną las szumieć zaczyna,
a na mnie ciepłe, jasne słońce bije zgóry,
dusza moja zgoniona, z wydartemi pióry,
z otworzonemi usty na palce się wspina..."

Obraz pełen poezji — ale to słońce, to jest poprostu to samo słońce, co się przez dzień kręci naokoło ziemi, któremu błogosławią wszystkie żywe organizmy. Jeśli tu Bóg leczy duszę, to leczy ją tym samym prostotnym sposobem, jakim leczy zwierza ranionego, leczy ją jako Naturalista; medykamenty chrześcijańskie są w reszcie przyrody poza nami niestosowalne, a do nas nietyle w słońcu wiosny, pod wolnem niebem, do szczęśliwców, co się kąpią w potokach życia naturalnego, stosowane, ile w pustkowiu kamiennem żywotów, oderwanych od pociech przyrody. Czytelnik zechce zauważyć, że to nie jest teologiczna szykana, do której czuję się w minimalnym stopniu uprawniony, tylko ścisłe stosowanie kryterjum „religijności"; są rozmaite rodzaje tego, co się nazywa „religijność", a mieszanie tych typów jest u nas zbyt częste... Religijność Pawlikowskiego w „Harfie Eeola" jest prawdziwie poetyczna, ale to nie tyle jest religja chrześcijańska, ile religja Natury.

„Hymny" do „Ziemi", do „Powietrza", do „Wody" są wspaniałą zaiste chwalbą widzialnego świata, a ponad nie jeszcze wzbija się „Pieśń", hymn na cześć małżeńskiej miłości:

„Kocham cię moja żywa, moja piękna żono!
W uściski twoje krzepkie idę po spokojność —
ach ty, co w sobie młodość masz niezwyciężoną!"

Ale ta „żywa i piękna" jest mu symbolem całej Natury: „Kocham cię, która sobą świat tłumaczysz cały!"... Poeta chwali i afirmuje świat, który zdolen był wydać kształt tak doskonały; ta zdolność świata napawa go pogodą i zaufaniem do świata. Jeśli jest w Świecie jakaś myśl Piękna, myśl tak dzielna i twórcza, to już chyba i Boga w Świecie trzeba przypuścić. I znowuż, jaka szczera poetycka zmysłowość: tego Boga, ni mniej, ni więcej, tylko zobaczyć można, olśnionemi oczy, w każdym razie Jego płaszcz:

„Kocham cię moja żywa, moja piękna żono!
Wrota słoneczne, które u kresu bezdroży,
przy szumie lasów, szumie lasów otworzono!

Człowiek śpiewał. Szły wtórem rozklaskane góry —
wody, lecące po przepaściach, grzmiały —
jodły ciemne na karczach szumiącemi pióry

Zaniosły się — zwierzęta na porębach wstały...
Aż na szerokich niebios płonące purpury
rzucił Bóg wyiskrzonej nocy płaszcz wspaniały...

Jestem przekonany, że w tej „Pieśni" wzniosłej, w tych wodach, co na przepaściach grzmiały, w tem djonizyjskiem jakiemś misterjum naturalnem upodobałby sobie sam tańczący Zaratustra... A te góry rozklaskane, te zwierzęta, co się po pustkach leśnych ku księżycowemu światłu wspięły w tajemniczym jakimś obrzędzie, to jest świat gadki ludowej, w stylizacji już najwyższej, wzniosłej.

Beata Obertyńska, aczkolwiek i ona, szczera poetka medycka, miłuje przyrodę, to jednak w sławieniu jej nie wznosi się aż do tej, świętalnej wprost tonacji, co jej matka i dziewierz[2]). Gdy zaś o Chrystusie myśli, to jej myśli przychodzą straszne i tragiczne:

„Wielu było, których łaska dźwignęła z topieli...
Całe rzesze płynące wślad za Nim drogami...
Lecz bliżsi mojemu sercu są tamci, nieznani,
O których milczą księgi, a o których gorycz mi moja więcej
[opowiadać umie niż myśl chce
I więcej niż może zrozumieć...

— Bliżsi mojemu sercu są ci, co nie doszli,
co na czas nie zdążyli
co się nie dopchali,
i którzy zostali
i którzy przepadli..."

I jeszcze to pytanie, w ustach wierzącej okropne:

„Był czas,
gdy można było wszystkiemu jeszcze zaradzić!
Tyś jeden wiedział tylko
dokąd ta droga prowadzi!
Ty jeden, Ty, nikt więcej,
widziałeś u jej kresu nocą ziejące urwisko
i Ty, Mogący wszystko
umyłeś ręce!..."

Mimo wszystko modli się:

„Jak kamyki z pokory aż płaskie i szare,
leżę, twarzą wciśniętą w proch u twoich nóg
i dziękuję, żeś raczył Łaski Twej ciężarem,
wdeptać mnie, szary kamyk w jedną z Twoichdróg..."

Tak, to jest prawdziwy świat chrześcijański: nie chwali się tu słodyczy miłości zdrowej, ani wody bieżącej, ani powietrza czystego, ani ziemi poważnej i obfitej, z tem uniesieniem, które aż do myśli o Bogu Mocnym i Wspaniałym porywa; ale w smutku, zwątpieniu, samotności, w rozpaczliwej niewiedzy, w litości zawiedzionej i zdumionej, pod ciężarem straszliwym ideału doskonałości, wbrew wszystkiemu, z uporem niezłomnym, dusza chce być przez Łaskę wleczona i ciągniona, w tem świętem przekonaniu, że jest Dobry Boży Sens, nam tu niewiadomy, ale wiadomy w Niebie, życia po chrześcijańsku. To jest to straszliwie podwójne życie chrześcijańskie, kiedy ponad naturalnego człowieka rośnie i na mękę go wydaje nowy, tajemniczy człowiek, któremu Natura, ze wszystkiem, co w niej najwspanialsze i najmilsze, za ciasna i za płaska. Nie o siebie zresztą temu wierzącemu idzie, tylko ma taką ufność niezłomną, że są Przeznaczenia Nadludzkie, do których Człowiek powołany, i oto człowiek nie chce nic więcej i nic mniej, tylko włączyć się w ten Ruch nadludzki i zdrowym rozsądkiem niepojęty tak pokornie, tak niczego nie dociekając, tylko na swoją dobrą wolę dążenia wzwyż zdawszy się, jak pokornie leży kamień w bruku gościńca, nieznany ale potrzebny.

(D. c. n.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[2]) Lansuję staropolskie „dziewierz" zamiast niemieckiego i brzydkiego „szwagra".

NA WIDOWNI

Dzień w Łęczycy.—Ruiny i dziatwa.—Trumienka Franciszka Michałowicza.—Tum i jego piękno.—Co tu działo się w roku 1180.

BYŁEM w Łęczycy. Ileż wrażeń, wzruszeń, refleksyj nastręczają odwiedziny w tem, ubogiem dziś, na uboczu od wielkich dróg komunikacyjnych stojącem miasteczku, niegdyś jednym z najważniejszych grodów Polski piastowskiej!... Refleksyj i o przemijaniu, i o trwałości...

Oto ruiny zamku łęczyckiego, pamiętne legendą o Borucie: grube, wciąż jeszcze potężne mury, choć tak niewiele pozostało obecnie z warownej ongi, osłanianej przez nie budowli. Po dziedzińcu dawnym goni się kilkunastu uczniaków, dwaj, dwunastoletni może, w koszulach harcerskich, majstrują zawzięcie, coś naprawiając w opartym o ścianę baszty rowerze. Jest jakiś motyw poetycki w tym kontraście: prastarych cegieł, młodziutkiego życia.

Nie ulega wątpliwości, że musi to mieć wpływ na kształtowanie się psychiki młodych pokoleń, jeżeli od dzieciństwa najwcześniejszego wychowują się — rzec można — w cieniu zabytków, będących dorobkiem stuleci: dzieje narodu muszą stawać się wtedy czemś osobiście bliższem, bardziej zażyłem, czemś łączącem się ze wspomnieniem pierwszych wrażeń i wyobrażeń, a — przez to samo — serdeczniejszem i głębiej rozumianem. Nieraz zastanawiałem się nad tem w Anglji, we Francji, we Włoszech, w niewielkich często, lecz dostojnych swoją przeszłością mieścinach, patrząc na dziatwę, swawolącą u stóp gotyckich katedr, baraszkującą u bram odwiecznych kasztelów. I u nas również nie brak takich miasteczek z tradycją, czemuż rodzimość ich oddziaływa mniej intensywnie, zagłuszana egzotycznym zapachem *ghetta*, hałaśliwością obcego uszom polskim żargonu?

Nieco dalej od Rynku, po drugiej stronie — kościół Bernardynów, o prześlicznej, barokowej fasadzie, w blasku słonecznym sprawia wrażenie urzeczywistnionej wizji architektonicznej Noakowskiego. W zakrystji, w specjalnem zagłębieniu, mała, szklana trumienka, w której oglądać można zeschnięte, szaro-zielone ciałko dziecka, małego trupka o twarzyczce jakby zniekształconej męczarnią. Napis objaśnia:

„Franciszek syn Macieja Michałowicza, wyrobnika ze wsi Komoszyce, lat około dwu liczący, d. 21 kwietnia 1639 r. w Wielki Czwartek został wykradziony przez żebraka Tomasza, przekupionego od żydów łęczyckich. Dziecię to poniosło sto przeszło ran kłótych i wskutek zupełnego upływu krwi oddało Bogu ducha, poczem trup dziecięcia został ukryty w lesie komoszyckim.

Sprawcy tej zbrodni, oraz żebrak Tomasz, wyrokiem Trybunału Lubelskiego zostali skazani na śmierć przez rozsiekanie na części".

Powyżej trumienki stary obraz olejny, przedstawiający scenę mordu rytualnego. Dramatyczność kompozycji, zmysł kolorytu, a przedewszystkiem siła wyrazu poszczególnych postaci wskazują w sposób nieodparty, iż mamy tu do czynienia z artystą, znacznie wznoszącym się ponad przeciętny, rzemieślniczy poziom produkcji swojej epoki. Jako zabytek sztuki, malowidło bezsprzecznie zaleca się uwadze miłośników (może wartoby udostępnić je przy pomocy reprodukcyj?) Pięknem świadectwem jest kultury plastycznej swego twórcy, jego umiejętności i talentu.

Ale klejnotu najcenniejszego — i estetycznie i historycznie—szukać należy nie w Łęczycy samej, lecz w oddalonej od niej o 3 kilometry wiosce Tumie. Zdaleka już widnieją czworokątne wieże kamiennej, romańskiej archikolegjaty, majestatycznie wznoszącej się wśród łanów zbóż i pastwisk zielonych, przerastającej najwyższe, otaczające ją, stare drzewa. Zachwyca—skoro się przybliżyć—potężna sylweta nawy, spatynowana szarość budulca, kształtność „okien bliźnich" w dzwonnicach, lecz, nadewszystko tympanon portalu południowego, z adoracją Madonny przez aniołów, z obfitością fantastycznych roślin i zwierząt, dziwacznych stworów, pokrywających rzeźbione głowice i łuki, jakby wkraczało się w zaklęty, pełen poezji świat pojęć i wyobraźni głębokiego Średniowiecza!

Mimowoli nasuwają się porównania z analogicznemi pomnikami architektury na Zachodzie, formułują się uwagi i wnioski. Niewątpliwie budowle te, w chwili, kiedy je wznoszono, o wiele podobniejsze były wzajemnie, niż są obecnie: w wieku XII bliżsi byliśmy pozostałej Europie w pojęciach o tem, jak budować, aniżeli w stuleciu XIX, w poglądach na to, jak konserwować. Lata niewoli i w tej dziedzinie zaznaczyły się skrępowaniem i zastojem. A choć niekiedy uchroniło to nas, być może, od przesadnego czasem puryzmu Viollet-le-Duc'ów, jednak, znalazłszy się w świątyni w Tumie, trudno nie uczuć żalu, patrząc naprzykład na freski w nawie, jaskrawe w swoim natrętnym realiźmie, takie tu obce, takie niezgodne z surowością szlachetną romańskiego wnętrza... Trudno nie westchnąć też, gdy z bogato ilustrowanemi wydawnictwami zagranicznemi zestawi się sprzedawany w Tumie „Przewodnik", biedną książczynę, w której zabrakło, najmniejszej choćby, fotografji słynnego portalu, lecz wzamian za to, zapełniwszy całą pierwszą stronicę, w ramce ozdobnej widnieje portret miejscowego księdza proboszcza...

Wiele interesujących dzieł sztuki zawiera archikolegjata łęczycka: pięknie rzeźbione wsporniki w bocznych nawach, stalle gotyckie, starodawne płyty nagrobkowe. Uwagę zwraca osobliwa chrzcielnica z pokrywą z miedzi, zdobną wytłaczanemi figurami zwierząt i przez nikogo dotąd nie odczytanym, dziwnym napisem — zabytek prawdopodobnie jeszcze pogański. Ale — przyznam się — o czem innem myślałem przedewszystkiem, znalazłszy się w tych odwiecznych murach.

W oczach majaczyła mi się chwila, gdy do tegoż wnętrza właśnie, pod tymże portalem, takim nowym jeszcze wtedy (postawiono go w roku 1161) wchodził Kazimierz Sprawiedliwy, otoczony możnowładztwem duchownem i świeckiem, by tu, na zjeździe w roku 1180, postanowić pamiętne przywileje. Wszak była to poniekąd polska *Magna Charta*, pierwsze legalne ograniczenie jedynowładztwa piastowskiego na rzecz organizujących się sił społecznych narodu!

Przypomnijmyż fragment tej najstarszej naszej „karty swobód", jak cytuje ją w swojej „*Chronica Polonorum*", Mistrz Wincenty Kadłubek:

„Ktokolwiekby biednym kmiotkom zboże, czy gwałtem czy innym sposobem zabierał, albo zabierać kazał, niech będzie wyklęty; ktokolwiek do dania podwodów na posyłki kogokolwiek przymusi lub przymusić każe, niech będzie wyklęty; wyjąwszy tylko jeden przypadek, t. j. gdy nieprzyjaciele której prowincji zagrażają. Nie jest to bowiem niesprawiedliwością, jeżeli jakimkolwiekbądź sposobem stara się kto o ocalenie ojczyzny".

Ale dość... Widzę wyraźnie, że uleganie takie urokowi idej wieku XII, mogłoby, w dzisiejszej epoce, przybrać, poprostu, znamiona — „niebezpiecznej agitacji..." Może ze stanowiska „wychowania państwowego" rok 1180 uznać wypadnie za początek upadku dawnej Rzplitej, od tego czasu—powoli lecz nieuchronnie — staczającej się ku ostatecznej katastrofie?...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

TERMIN „WYBORY", mający określać czynność, która z wybieraniem w pospolitem znaczeniu słowa niewiele ma wspólnego, niemało przyczynia się narazie do zamącenia pojęć. Daje też łatwe pole do niezbyt lojalnych wystąpień publicystycznych. Niedzielna „Gazeta Polska" dopatruje się skandalicznej niekonsekwencji w stanowisku obozu narodowego, który w swoim czasie potępiał abstynencję od wyborów do Dumy, dziś zaś zaleca bojkot wyborów do ciał ustawodawczych. Czyżby publicysta sanacyjny w zacietrzewieniu partyjnem przestał na chwilę zdawać sobie sprawę, że nie można tu przeprowadzić żadnej paraleli, gdyż wybory obecne nie są wogóle wyborami, w tem znaczeniu, w jakiem można było mówić o wyborach — choćby do rosyjskiej Dumy? W najlepszym razie mamy tu do czynienia z chwilą nierozwagi; w przeciwnym razie — z nieładnem polemicznem nadużyciem.

Na sprawę tę warto spojrzeć także z większego dystansu. Termin „wybory" pozostał u nas, jako pamiątka, pozostawiona przez państwo demokratyczne państwu autorytatywnemu. Rzecz godna zastanowienia, jak państwo autorytatywne lubuje się w tego rodzaju pamiątkach po swym niesławnym poprzedniku, i z jakim gustem zachowuje to, co najmniej warte, odrzucając to, co najbardziej było cenne. Tęskni do agitacji i demagogji, do rozbudzenia zgiełku przedwyborczego i popisania się sprawnością administracji — lęka się autentycznych przejawów myśli i woli. Zaprasza do wyborów, uprzedzając, że samo weźmie na siebie rzecz najważniejszą — odpowiedzialność za wybór. Z ideologji demokratycznej, apoteozującej akt wyborczy, odrzuca to, co w niej było najpożyteczniejsze — ideję wykształcenia w masach poczucia odpowiedzialności za dobro zbiorowe, ideję obowiązku obywatelskiego wybierania, równającą się obowiązkowi rządzenia i gospodarzenia obywateli we własnym kraju. W obecnych warunkach prawno-politycznych, rzecz oczywista, wybory obowiązkiem obywatelskiem — w rozumieniu powyższem — być przestały. Cała struktura moralno-ideowa, która w ustroju demokratycznym wspierała ten akt i nadawała mu szczególne znaczenie — zgnieciona została autorytetem państwa autorytatywnego. Żyjemy w innych czasach. Można było dawniej pojmować jako obowiązek moralny obywatela zdecydowanie się na wybór między „sanacją" a opozycją. Ale niepodobieństwem byłoby wmówić w siebie, że dokonywa się ważnego aktu państwowego, jeśli się ma dokonać wyboru— dajmy na to — między pp. Carem i Paschalskim.

Bojkot wyborów ogłoszony został przez całą opozycję polską. Nawet jednak gdyby nie został ogłoszony, sprawa nie przedstawiałaby się w gruncie rzeczy inaczej. Do urn wyborczych z dawnym zapałem śpieszyćby mogli zapóźnieni wychowankowie ideologji demokratycznej, wykonywający gest bez znaczenia z takiem namaszczeniem, jakby rzeczywiście wybierali. O wolności wyborów od początku przecież nie mogło być mowy. Przywódcy sanacyjni wielokrotnie z naciskiem oświadczyli, że celem wyborów jest utrącenie dawnych przywódców stronnictw. Asumpt do tych oświadczeń dało oczywiście nie prorocze natchnienie, wróżące, że kolegja wyborcze nie wyłonią kandydatur dotychczasowych przywódców partyj, lecz chłodna pewność, na innych całkiem oparta podstawach, że zagwarantowane jest wyłonienie kandydatów, którzy będą sobie tylko tak biegunowo odlegli, jak — przypuśćmy — pp. Świtalski i Miedziński — i że tylko między temi biegunami wahać się będzie wolność wyboru wyborców.

W tych warunkach — powtarzamy — branie udziału w wyborach do ciał ustawodawczych przestała być tem, czem było wedle ideologji demokratycznej — obowiązkiem obywatelskim w głębszem rozumieniu tego słowa.

WIADOMOŚĆ, o czem szerzej nie wiedziano, iż jedna z prawdziwie bohaterskich postaci naszej historji, pułkownik Czesław Mączyński, kierownik obrony Lwowa i wódz w słynnej rozprawie pod Zadwórzem, po zwycięskiej wojnie został komendantem P.K.U. w Wołkowysku, a potem przeniesiony w sile wieku na emeryturę, pokazała wszystkim, jak daleko już u nas zaszedł proces etatyzacji życia.

Podstawą takiego procesu jest zawsze monopol. Dziś w Polsce zmonopolizowano nietylko tytoń i spirytus, ale i zasługi. Ten tylko może doznać szacunku za swą pracę, kto zgodzi się wpisać na listę „elity", w przeciwnym bowiem razie nietylko pozbawią go moralnej satysfakcji, ale nawet zachłanny monopol, w postaci niewidzialnego sekwestratora, „zajmie" jego dorobek pracy narodowej i przekaże go innym. Raz wraz słyszymy o jakimś nowym bohaterze, niebywałych (dosłownie) czynach, duch „państwowego wychowania" każe wychwalać w specjalnych wykładach szkolnych życiorysy wizytatorów (o czem niedawno szeroko pisano w prasie), a tacy Mączyńscy zostają usuwani w cień, o Skarbkach i Cieńskich prawie się nie pamięta. Wybicie szyb w oknie jakiegoś profesora podczas strajku szkolnego upoważnia do ubiegania się o „krzyż niepodległości", a dowódca korpusów wschodnich i twórca armji polskiej w Poznaniu, gen. Dowbór-Muśnicki nie ma ani jednego odznaczenia i uważany jest jedynie za „generała wielkopolskiego"...

Złe obyczaje, które każą przemilczać nazwisko Dmowskiego, gdy się mówi o odzyskaniu Bałtyku, potrafią nawet przybrać taką formę, która doprowadza do grobu ludzi, co odważyli się uczciwie wypowiedzieć swój pogląd na wydarze-

nia historyczne, jak to było ze ś. p. prof. Wacławem Sobieskim.

Podczas gdy jedni, po spełnieniu swoich obowiązków wobec Narodu, schodzą z tego świata cisi, nagrodzeni jedynie własnem zadowoleniem, dla sławy drugich tworzy się specjalne biura, „Instytuty Propagandy Państwowotwórczej“ (jest taki w Warszawie przy ulicy Wiejskiej). Zracjonalizowana i planowa wytwórnia „wielkich imion“ pracuje sprawnie, szerząc zbiorową suggestję i wywołując konieczne zachwyty.

Wysiłek nad wytworzeniem nastrojów chwili ma wszakże tę słabą stronę, iż jest obliczony na krótki efekt. Wprawdzie rozmaite „Instytuty badania najnowszej historji polskiej” starają się już urabiać pogląd na współczesne nasze dzieje, tworząc nową, sprytnie spreparowaną szkołę historyczną, nie są to jednak zjawiska na dłuższą metę groźne. Duże, a nawet ogromne wysiłki masonerji noszą znamiona niekłamanego zdenerwowania. Światopogląd wyrosły na wrogich jej podstawach podbija dzisiaj umysły idących pokoleń, więcej nawet — panuje w nich niepodzielnie.

Niechaj o tem pamiętają ci, którzy dla stworzenia własnych wielkości muszą się posługiwać metodą pomniejszania zasług innych i w ten tylko sposób rosnąć. Sąd historji musi być sprawiedliwy, a od wyroku trudno się będzie odwołać. Skazaną bowiem zostanie przedewszystkiem masonerja, i to z rygorem natychmiastowego wykonania.

NAUKA i LITERATURA

„DOLA CZŁOWIEKA”

CZAR Dalekiego Wschodu, tajemniczych i groźnych Chin, bywał zazwyczaj jednym z nieodzownych atrybutów t. zw. powieści egzotycznej. W przyczynowym związku z tą wyłącznością konwencjonalnych wzruszeń odkrywcy i pioniera pozostawało dumne poczucie posiadania całej powierzchni globu, tak charakterystyczne dla naiwnej pychy zeszłowiecznego, w pełni powodzenia, Europejczyka. Było wprost nie do pomyślenia, aby ci „dzikusi”, jak popularnie doniedawna chrzczono Chińczyków, a nawet Japończyków, nawet Hindusów i Persów, mieli inną rację istnienia, jak zadośćuczynienie ciekawości naukowej „rasy panów”. I tutaj stał na usługi utarty pogląd o o rzekomem barbarzyństwie, bliżej nieznanych, często oryginalnych w zakresie twórczości duchowej, odległych ludów.

Apostołowie europejskiej cywilizacji znajdowali wewnętrzną siłę i usprawiedliwienie bezwzględnego postępowania z „krajowcami” we własnym, wysokim i niezłomnym obyczaju.

Nadeszły głębokie wstrząsy i zmiany: z jednej strony narody azjatyckie, o odrębnej strukturze, przebudziły się z wiekowego letargu, z drugiej — zdobywcy zgubili gdzieś na długo swój patos rycerski lub conajmniej niepożytość i impet zaborczy.

W miarę degeneracji pokolenia odkrywców — jakże odsunęła się w cień potężna sylwetka Marco Polo! — i dawny romans egzotyczny ustępuje miejsca objektywnej relacji życia pod daną szerokością geograficzną. Niemożliwe byłoby np. w dzisiejszych warnkach powstanie wspaniałej kreacji białego władcy tybetańskich plemion z noweli Kiplinga „O człowieku, który chciał być królem”.

Conradowski humanitaryzm, dostrzegający w gnębionych przez Holendrów Malajach godnych szacunku ludzi „Fantazja Almayera”), bardziej odpowiada współczesnemu autokrytycyzmowi, przeradzającemu się nierzadko — chwiejna, uczuciowa krańcowość postaw umysłowych—w kompleks niższości wobec pogardzanych uprzednio kultur prastarych.

Jeżeli teraz w pamięci pisarza zastąpimy dawne drużyny wikingowskie lub choćby garnizony Błękitnych czy Białych huzarów, stacjonujące w Simli, w Gopalu, misjami handlowemi państw europejskich, będziemy w posiadaniu elementów, składających się na całość wyobraźni, w jaką zbrojny wyruszył André Malraux do Szanghaju w swej nowej powieści „Dola człowiecza” („*Condition Humaine*” — Warszawa, 1935. „Nowości Literackie”. Z upoważnienia autora — przełożył Adam Ważyk. Str. 344).

Do tego jeszcze, obowiązkowy u pewnego typu francuskich literatów, komunizm. Dziś zresztą w równym stopniu wytworza się, w sensie odczucia estetycznego, na pograniczu wzruszeń społecznych, snobizm przeciwnego obozu, kto wie, czy nie silniejszy?

Żarliwość Malraux każe mu — nie bawiąc się w wątpliwą, jeśli chodzi o wpływ na umysły, zwłaszcza po pouczających doświadczeniach rosyjskich, apologję komunizmu — dać żywy, krwią męczenników za wiarę komunistyczną ociekający, dokument martyrologji szanghajskiego powstania z r. 1927. Istotnie, dla wyznawców mogą się stać te „Żywoty” źródłem siły duchowej: dwustu chińskich komunistów, spalonych przez Nabuchodonozora XX w., generała Czang-Kai-Szeka w ognistym piecu... lokomotywy, przy ogłuszającym akompanjamencie gwizdka parowozowego, dla stumienia potępieńczych wrzasków i jęków — to może skutecznie rywalizować z historją dwunastu młodzianków w dziejach judzkich. Twórca zjednoczenia Chin przybiera w tem świetle kształt sennego koszmaru.

Zresztą takie, wzajemne „robienie sobie na złość” (w podobny, albo i gorszy sposób postępowali „czerwoni” ze swymi przeciwnikami, i w odległych Chinach i bliżej...) zmusza niekiedy swym potwornym grymasem do uśmiechu:

Opowiadano, że nawrócony na protestantyzm gen. Czang-Tso-Lin, wziąwszy w jednej potyczcze kilkuset „czerwonych” do niewoli, postanawia ich stracić. Przedtem jednak pragnie uratować dusze swych ofiar od wiecznego potępienia. Jakżeż tu jednak, na postoju chrzcić każdego jeńca zosobna? Ale od czego subtelny chiński intelekt? — na placu egzekucyjnym ustawiono obok „maszynek”... sikawki i w ten prosty sposób uczyniono zadość chrześcijańskiej cnocie miłosierdzia.

Oczywiście, przy ocenianiu motywów, jakiemi kierował się srogi dyktator Czang-Kai-Szek, nie można pominąć faktu całkowitego uzależnienia chińskiej partji komunistycznej od Moskwy, której oficjalny, choć zakonspirowany, delegat Borodin stale przesiadywał w Han-Keu, reżyserując z bezpiecznego kąta ruch rewolucyjny w północnych Chinach. To samo trzeba powiedzieć o terrorze, stosowanym przez komunistów metodycznie, z dziką wiarą w jego nadludzką rację. Prowodyrzy — mieszaniec: pół Japończyk, pół Francuz; Rosjanin i Belg, oraz, na okrasę, jeden Chińczyk — godnie reprezentują „żywiołowy odruch” narodu.

Co innego, że scena w policyjnej mordowni, pozostającej pod dyrekcją Niemca Koeniga (bezkonkurencyjni specjaliści w katowskiem rzemiośle!) zbyt głośno woła o zdeptaną godność ludzką, aby można było nie stracić sympatji dla bohaterskiego skądinąd, firmującego niesłychane okrucieństwa, „Czanga”.

Na tej walce o godność zasadza się — wedle słów jednego z przywódców konspiracji, pół Francuza Kyo Gisors'a — istota wiary komunistycznej, nie wykraczając w tej wykładni poza czysto uczuciowy, sublimowany z wszelakich „interesów”, impuls lepszej strony natury ludzkiej. W ten sposób przemawia autor do francuskiego czytelnika: językiem łatwo dlań zrozumiałym, wolności, równości i braterstwa.

Ten szczytny cel, przyświecający chińskim komunistom — wywalczenie godności — mało zbratany z grą III Międzynarodówki staje się w relacji Malraux świadectwem

dojrzałości dla społeczeństwa mandarynów i kurtyzan. Mamy więc do czynienia z nowoczesnem ujęciem egzotyki w powieści.

O próbę rozwiązania t. zw. kwestji społecznej autor się nie pokusił, pamiętając, że np. odwieczny chiński ustrój agrarny w zupełności wykwita z miejscowych potrzeb i warunków.

Mizernie, w porównaniu z autochtonami, wygląda pokolenie „białych zdobywców". reprezentowane przez takiego błazna kawiarnianego, jak Francuz Clappique, z drugiej strony przez biegunowo różniącego się, jego ziomka, „rycerza przemysłu", Ferral'a, degenerata, jakkolwiek człowieka czynu. To znowuż odmienne od konwencjonalnego przedstawienie środowiska europejskiego w powieści egzotycznej, inna rzecz, nie ku chwale imperjum kolonjalnego własnej ojczyzny.

Autor — ze swego, ortodyksyjnego komunarda, punktu widzenia — przy każdej sposobności demaskuje kulisy francuskiego parlamentaryzmu, ukazuje wnętrza poczekalni i zacisznych gabinetów ministerjalnych, wentylując nieznośną atmosferę, jaka zmusiła poprostu społeczeństwo do rozpaczliwej samoobrony podczas pamiętnych dni lutowych.

Nie zawiedzie się ten, kto, już „na pewniaka", poszuka przekąsu pod adresem Polski: hrabia Szpilewski (*sic!*), Polak, *ex* oficer austrjacki i mistrz w szabli Krakowa, agent policji międzynarodowej w Szanghaju, drobny łotrzyk, zresztą bez znaczenia w powieści.

Przekład p. A. Ważyka w zupełności nie oddaje pewnych finezyj oryginału, zniekształcając, miejscami, zasadniczą myśl utworu. Lista grzechów śmiertelnych tłumacza tym razem dość długa. „Ścieśnione ruchy": „...nie zwracał prawie nigdy swoich ścieśnionych ruchów na prawo, ani na lewo...", str. 42. Masaż: „Ratowała go jednak dama, pokrzepiona planami, które mięsił w mózgu...", str. 219. „Dokład": „...nic, tylko nieustanny dokład wody o wysoki brzeg i falochrony", str. 151. „Wyżyłowany bokser": „i wysunięte bary wyżyłowanego boksera...", str. 177. „Zachłanny łachudra": „Pastor... nie był, stanowczo nie był zachłannym łachudrą", str. 168. „Wstawa": „Tym razem wstawił spojrzenie w oczy pastora", str. 168. „Rozłożyste kapelusze": „Było ich dwóch — w rozłożystych kapeluszach...", str. 169. „Zamyśleniec": „Krzywonosy Suen, chińczyk, w typie czerwonoskórym, zamyśleniec — nie patrzył, nie widział;...", str. 169. „Wystawna pyjama": „Zdjął z łóżka wystawną nocną pyjamę,...", str. 220. „Człowiek—guma": „Patrzył na tę twarz, co prężyła się cierpko w upokorzeniu, napierającem z głębi ciała...", str. 226. „Wahliwe perspektywy": „Zarzucone w wahliwych perspektywach olbrzymie znaki głosek ginęły w tym odmęcie,.." (mowa o reklamach świetlnych), str. 234. „Żartowny gość", „Rozpromieniła się: gość był żartowny", str. 247. „Miglanc": „To prawda, nie wyglądał na miglanca, co płaci; tylko, że swojakiem nie był już chyba oddawna", str. 248.

Należałoby także przesiać germanizm „nieprawdaż!", nadużyty w śmieszny już poprostu sposób.

ES.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Leonidas Leonow. „Złodziej". Przełożył St. Leśniewski. T. I i II. Warszawa, 1935. Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Powieść Leonowa jest żywem unaocznieniem paradoksalnego napozór zjawiska we współczesnej literaturze rosyjskiej t.j. częściowej kontynuacji wątków treściowych literatury z przed „czerwonego października". Oczywiście, paradoksalność tylko pozorna — po bliższem bowiem wejrzeniu w istotę rzeczy dochodzimy do wniosku, że ścisła granica chronologiczna, choćby znacząca się wstrząsającym przełomem politycznym, nie zawsze pokrywa się z absolutną zmianą oblicza ideowego — tembardziej artystycznego — u współczesnych. Przykładów dostarczy nasza przeszość, gdzie data rozbioru Polski (poza jedynym „Bardem" Adama Czartoryskiego) nie znalazła godnego siebie literackiego wyrazu. Przełom w tym świecie dokonał się w ćwierć wieku później od przełomu politycznego. Oczywiście, przewrót bolszewicki, niszcząc w umysłach Rosjan tradycyjny pogląd na świat, w większym może stopniu, niż rozbiór Polski u nas, był w możności dokonać „zmianę skóry". W praktyce zawrócili z miejsca — i galopem w przeciwnym kierunku — ci, dla których nie stała się probierzem życia wewnętrzna prawda artysty, osiągnięta w nadludzkiem nieraz zmaganiu. Dla upaństwowionych pisarzy *„politgramota"* nabrała cech przedmiotu kultu. Leonow w powieści „Złodziej" dał nowe spojrzenie na najbardziej może tradycyjny, choć inaczej dziś w drabinie społecznej „zaszczeblowany", świat przestępczy. W tym światku (i półświatku) obracają się przeróżnego autoramentu wykolejeńcy, którym łatwo — ze względu na ich małą odpowiedzialność etyczną — włożyć w usta poglądy, chwilami sprzeczne z oficjalnem stanowiskiem Wcik'a.

Cóż mieć możemy przeciw twierdzeniu: „Różnią się między sobą pokolenia, walczą, potykają się na życie i śmierć, a tego nie wiedzą, że nie mogłoby istnieć jedno bez drugiego. A tego nie pamiętają, że na mocnych, ojcowskich barkach budują młodzi swoje zawrotne gmachy". (t. I, str. 168).

Autor, dając w ten sposób przemawiać staroreżimcowi, ex-obszarnikowi (Maniukin), czuje się rozgrzeszony. Moment olśnienia moralnego u zdeklarowanego łotra, podyktowany piekącym wyrzutem sumienia, ma tę wagę, co i natchnione słowo świętego. Widać w tem należny dank, oddany pięknu wewnętrznemu. Agej Stolarow, złodziej i morderca, dokonywa jakby spowiedzi przed powieściopisarzem Firsowem... i, ot — ni mniej, ni więcej: „Samowola oto jad. Kto tym jadem zatruty, nie powinien więcej żyć. Należy go niszczyć. A jeśli tego zniszczyć, to i samego niszczyciela... również, co? I tak pójdzie gęsiego aż do samego końca. A któż ostatniego uderzy? Kto, jeśli Jego (Boga—przypis. mój) niema, co?" (t. I, str. 123). Tragiczne pytanie osamotnionego syna ziemi! Postać Porchowa, „majstra na Błaguszy", dobrotliwego obserwatora życia, tchnie organiczną, harmonijną siłą, a jego życzliwa rada pod adresem zbłąkanego przyjaciela („Zostań ze mną. Nauczę cię rondle pobielać, wszelkiej roboty na ziemi nauczę. I chlebek ci stanie się słodkim... — I od palenia przy okazji bym cię odzwyczaił!—", str. 131, t. I) z łatwością zmieściłaby się gdzieś w Dickensowskiej filozofji dnia codziennego. Według tych kilku punktów orjentujemy się, podobnie jak i główny bohater, Mit'ka Wiekszyn, ostatecznie znajdujący sens i cel w życiu, w nieprzebranym gąszczu zjawisk, ukazanych przez utalentowanego pisarza. Przekład niezły, dobrze oddający gawędziarski, rozlewny ton narracji osób działających i skromną oprawę, jaką tworzy oszczędne słowo autora. (St. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niedawno zwracaliśmy uwagę naszych czytelników na książkę znakomitego historyka francuskiego, F. Funck-Brentano, poświęconą Lutrowi, a oto znowu polecamy im inną kapitalną pracę tegoż autora p. t. *„La Renaissance"* (str. 442, wyd. Fayard'a).

Jest to szereg szkiców i studjów, mających za przedmiot ludzi i sprawy, charakteryzujące epokę Odrodzenia. Pełnego jej obrazu nie dał nam autor, książka jego bowiem zajmuje się głównie „renesansem" we Włoszech i we Francji, z pominięciem innych społeczeństw Europy. Z tego względu przypomina ona znane dzieło Ludwika Geigera „Odrodzenie i Humanizm", w którem mowa tylko o „renesansie" we Włoszech i w Niemczech.

Nie na wszystkie poglądy autora można się godzić, jak np. na porównywanie „renesansu" z W. Rewolucją francuską (p. końcowy rozdział), albo na szukanie duchowych źródeł tej epoki pierwej we Francji, a następnie we Włoszech, co zresztą autor robi mimochodem. Są to wprawdzie zagadnienia, narzucające się badaczom, im wszakże należy poświęcić albo dużo miejsca, albo wcale nie poruszać, w książkach przeznaczonych dla szerszego ogółu. Bądź jak bądź, dzieło Brentana dalekie jest od szablonowości podręcznikowej (niema tu już mowy o „przepaści" oddzielającej „renesans" od średniowiecza i t. p.), pozbawione jest pedanterji oraz ociężałości erudycyjnej, posiada przytem wybitne zalety literackie.

(W. J.)

POKŁOSIE

PODRÓŻ PO POLSCE

LATO czas podróży; wyzyskajmy je więc i my do lepszego rozejrzenia się po naszym kraju, który jednak wciąż dopiero poznawać musimy, a poznanie to jest tem ważniejsze i pilniejsze, że coraz jaśniej zdajemy sobie sprawę z tego, iż do należytego ukształtowania naszego ustroju i pokierowania życiem zbiorowem obce wzory nie na wiele się nam przydadzą, i że musimy wyrobić sobie własny swój program i własne cele. Najwięcej pożytku z podróży osiąga się zwykle, gdy się ją odbywa pod kierownictwem dobrego przewodnika, dobierzmy sobie i my takiego fachowca do prowadzenia i pomocy.

Niedawno wyszła z druku mała książeczka, a raczej broszura, z której wiele nauczyć się można i która daje dużo tematów do przemyślenia. Mam na myśli M. Janiszewskiego „Polska w obliczu Europy" (Warszawa 1935, skł. gł. „Nasza Księgarnia" S. A. Zw. Naucz. Polsk.). Są to, jak głosi podtytuł, rozważania geograficzne. Autor, fachowy geograf, usiłuje z przesłanek, wynikających z danych swej wiedzy, wysnuć syntezę Polski jako obszaru geograficznego, jej sens jako państwa i możliwości rozwoju. Omawia znane poglądy na Polskę Nałkowskiego (Polska kraj przejściowy od Zachodu do Wschodu) i Romera (Polska, pomost między Wschodem i Zachodem) i ilustrując swe wywody jasnemi mapkami, dzieli Polskę na dwa obszary: zachodni, odpowiadający swą strukturą geograficzną krajom Europy zachodniej, i wschodni, mający wszystkie cechy naturalne europejskiego wschodu. Wyraźna granica między temi dwoma obszarami biegnie od południa, poczynając najpierw biegiem Dniestru, potem przez Lwów do Sandomierza, dalej korytem Wisły do Puław i stąd na wschód do granicy Prus Wschodnich i Królewca. Dwa te obszary wykazują bardzo wyraźne różnice w charakterze fizjograficznym i drogi ich rozwoju jako siedzib społeczeństw ludzkich poszły zupełnie inaczej. Rozsiedlanie ludności, rozwój miast, przemysłu, handlu, komunikacji, zupełnie inaczej się przedstawia na zachodnim obszarze, inaczej na wschodnim. Polska nie jest krajem jednolitym. Czy to wada, czy zaleta? Autor na przykładach wielu przodujących w kulturze i cywilizacji krajów (Francja, Belgja, Niemcy, Włochy i td.) dowodzi, że jest to właśnie zaletą i że kraje bardziej jednolite, jak Hiszpanja, Litwa, Persja, Turcja, nie doszły do wielkiego rozwoju. Granica dwóch światów biegnie na naszem terytorjum bardzo wyraźnie, niema żadnego pasa niezdecydowanego, przejściowego. Czy granica ta, zapytuje, jest pustkowiem? Wprost przeciwnie: leżą na nie od wieków miasta, będące centrami administracyjnemi i cywilizacyjnemi dla wschodniej części Polski, a więc Stanisławów, Halicz, Lwów, Lublin, Łuków, Drohiczyn i wreszcie, u ujścia Biebrzy do Narwi, Wizna, jeden z najstarszych grodów na przejściu z Mazowsza na Podlasie. Jeżeli niektóre z tych centrów straciły obecnie dawne swe znaczenie, to stało się to głównie wskutek polityki komunikacyjnej państw zaborczych, nie zaś z przyczyn naturalnych. Ciekawe jest przytoczone przez autora spostrzeżenie St. Niemcówny w „Dydaktyce Geografji", że granicę między wschodem i zachodem wyraźnie widać nawet w niektórych miastach, tak np. w Lublinie „W położeniu geograficznem i fizjognomji, zaznacza się wybitnie pogranicze fizjograficzne i kulturalne... W krajobrazie miasta uderza np. w zachodniej części zwartość zachodnio-europejska i nowożytny rozpęd cywilizacyjny; obok, zwłaszcza na przedmieściach, bezplanowość budownictwa, chaos, brud i inne „ułomności" miast wschodnich... W fizjognomji miasta żywego uderza jeszcze jedno kulturalne przeciwieństwo. Z jednej strony katolicyzm gorący i skupienie się żywiołów konserwatywnych, ziemiańskich, z drugiej strony socjalistyczna rada miejska i liczne rzesze ludności bezrobocznej, nie głuchej na echa nadchodzące od niedalekiego wschodu".

Granica ta nie jest nieprzekraczalna, przeciwnie, od zarania wieków odbywa się przez nią żywy ruch i wymiana nietylko towarów lecz ludności, przenikanie tendencyj kulturalnych. Umysłowość zachodniej Polski różni się od wschodniej, lecz nie wynika z tego, żebyśmy uważać mieli obecność u nas pierwiastka wschodniego hurtem za brzemię, jakie los nam wyznaczył do dźwigania. Należy tylko z dodatnich stron dwu tych umysłowości wytworzyć syntezę, a będziemy wtedy mieli typ Polaka, bardzo bogaty i obdarzony wielkiemi możliwościami, zdolny dopiero naprawdę do wypełnienia zadań, jakie nam Opatrzność na naszym obszarze powierzyła. Trzeba wykorzystać intelektualizm zachodu, oczyściwszy go z zatruwającej „minimalistycznej" filozofji, ale nie należy lekceważyć uczuciowej tendencji wschodu i pamiętać trzeba, że o ile zachód dał nam większość dorobku naukowego i wiele innych pożytecznych i koniecznych osiągnięć, to wschód wydał licznych hetmanów i wodzów, ofiarnych obywateli, męczenników za wiarę jeszcze w naszych czasach.

Nie mam zamiaru streszczać tu książeczki M. Janiszewskiego, chciałem tylko zwrócić na nią uwagę jako na lekturę bardzo pożyteczną, dającą interesujący obraz Polski, na podłożu geograficznem namalowany i mogący pobudzić do nowego postawienia problemów, których rozwiązania coraz natarczywiej domaga się nasza rzeczywistość.

ARGUS

NA MARGINESIE

„Wiadomości Literackie" w ostatnim (30-tym) numerze, tak piszą o b. p. Szymonie Askenazym: „Rzecz dziwna i pożałowania godna, że nie został powołany do pracy w ministerstwie spraw zagranicznych po przewrocie majowym. Mógłby w charakterze podsekretarza stanu podnieść poziom umysłowy urzędników ministerstwa, zaprawiając ich do pracy i zmuszając do kształcenia się politycznego".

Jak w wydawnictwie, popieranem właśnie przez ministerstwo spraw zagranicznych, to wcale odważnie, nawet niegrzecznie...

*

Niedawno dzienniki doniosły, że postanowiono ułatwić w tym roku możność głosowania do izb ustawodawczych w ten sposób, iż ułomni będą mieli możność złożenia głosu przez zastępców.

Niegdyś działy się jeszcze lepsze rzeczy... — W przedwojennej Galicji głosowali „przez zastępców" nawet nieboszczycy...

*

Półurzędowa Agencja „Iskra" donosi:

„W dniu 22 b. m. w Brzesku Nowym w pow. miechowskim doszło do zajść między junakami z ośrodka pracy a miejscową ludnością. W bójce poturbowano kilka osób spośród junaków i ludności.

Agencja „Iskra" jest wzruszająco dyskretna. Ani słówkiem jednem nie wspomina, jakiego to owa „ludność" w Brzesku Nowym była wyznania...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.